

odgłosy



19 (703)
9. V. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

Ziemia ognia i wiatru

W „Dziejach” Herodota można wyczytać, że w miejscu, gdzie za jego czasów mieszkali Kaspjowie — wieje wiatr. Nie kłamał grecki historyk i plotkarz — rzeczywiście wieje i to jak! Baku — stolica Azerbejdżanu, znaczy po polsku — gród wiatru. Deło już trochę, kiedy po północy wysiedliśmy z samolotu. W kilkanaście minut później spadła na nas i zaćmiła oczy tak gęsta mgła, ciągnąca od morza, żeśmy się z trudem widzieli. Zapamiętałem sobie zdenerwowanie, jakies rosnące we mnie niecierpliwe napięcie, gdzieś bym poleciał, wykrzyczał się, a może i fikał koźłoki Igor Sikirycki, mój towarzysz i jedyny z całej dwuosobowej delegacji, znający język rosyjski perfekcyjnie, doznawał tych samych emocji. Niczego natomiast nie doznawał nasz opiekun Adil Jahajew, młody pisarz i tłumacz z języka perskiego. Spokojnie nam tłumaczył, że walizki znajdują się wcześniej czy później, a tak w ogóle, to powinniśmy być szczęśliwi, że samolot przyspieszył, inaczej wcale byśmy w Baku nie wylądowali.

Bakijski wiatr dmie przez 250 dni w roku. W hotelu spać niepodobna, firanki i stopy falują jak żagle, co jakiś czas otwierają się drzwi, coś spada ze stolika, człowiek czuje się jak samotny marynarz płynący w łupince wśród sztormu.

W takiej denerwującej aurze rozpoczęliśmy dyskusję nad antologią poezji Azerbejdżanu. Był to z pewnego punktu widzenia nasz debiut, po raz pierwszy dokonywaliśmy analizy nadesłanych nam tekstów, odrzucaliśmy wspólnie słabsze, dobieraliśmy nowe. Piszę to w liczbie mnogiej, ale w gruncie rzeczy pracował Sikirycki, ja mu tylko potakiwałem, rzucając od czasu do czasu głębokie uwagi w rodzaju — a jednak poezja jest królową literatury, Łódź natomiast to rodzona siostra Baku, ponieważ pracuje w oparciu o azerbejdżańską bawełnę, literatura jest niepodzielna, coż zresztą mając poetom w głowach, sami to uczynią.

Zarty żartami, ale w tradycji łódzkiego edytorstwa został otwarty pewien istotny rozdział: ścisła współpraca z literaturami poszczególnych republik radzieckich. Polacy, i owszem od czasu do czasu tłumaczyli co nieco z poezji azerbejdżańskiej, można się doszukać pierwszych przekładów już w XVIII wieku, ale do generalnego przeglądu, poważnej antologii poezji znacznie starszej niż nasza,

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Pigularze

Dwa lata temu szesnastoletnia Lupina zarzuciła sztalugi na ramię i ruszyła w plener, oświadczając rodzinie, że wróci o godzinie dwunastej. W zasadzie dotrzymała słowa. Wróciła za pięć dwunasta, tyle, że dopiero na czwarty dzień!... Była zakurzona, podrażniona, staniała się na nogach i miała niebawymie błędne oczy. Ojciec myślał, że jest pijana, ale oddech był czysty. Termometr także nie wskazywał odchylenia od normy.

— Gdzie byłaś? — pytała matka.
— A, szłam do Torunia — powiedziała sennym, apatycznym głosem.
— Po co?

— Bo tam jest ładnie...
— I doszłaś?
— Nie, chyba nie doszłam... To jest tak daleko...
— Dobrze się czujesz?
— Si — powiedziała. — Bardzo dobrze, cudownie...

Zasnęła, mamrocąc coś o pomarańczach, o gajach Kalifornii i hipopotamach, co wywołało na twarzach rodziców wyraz serdecznej ulgi i tklivosti. Ale kiedy się obudziła, nie była już tą samą Lupiną — bystrą, nad wyraz inteligentną, utalentowaną uczennicą jednej z łódzkich szkół artystycznych. Zaczęła za-

niedbwać się w nauce. Coraz częściej znikła z domu na długie godziny i coraz dziwniejsze były jej oczy. Kłamała. Chodziła na wagary. Kilkakrotnie ojciec przyłapał ją w parku otoczoną rojem nienaturalnie gnuśnych, osowiałych rówieśników. Rodzice w dalszym ciągu nie wiedzieli, o co chodzi. W szkole radzono, aby ją od czasu do czasu przeciągnąć paskiem, co miało mieć zbawienny wpływ na jej postępy w nauce, natomiast w Poradni Schorzeń Układu Nerwowego zalecano raczej łagodną perswazję — wykluczając możliwość jakiegokolwiek patologii.

A przecież cierpiała na bezsenność. W pewnych porach dnia była nerwowa i opryskliwa, ale ze szkoły wracała raczej w łagodnym nastroju. Bo właśnie w szkole zażywała piguły. Podobno wszyscy zażywali, gdyż to akurat było w modzie. Zdarzały się wypadki, że któryś z uczniów uległ na lekcji nagłemu atakowi: przejściowa zapaść, szybkie zemdlenie, zaśnięcie z głową na złożonych rękach — ale nikt się tym nie przejmował — twierdzą rodzice. — Były przecież rzeczy ważniejsze: zbliżał się z każdym dniem jubileusz szkoły; medale, zaszczyty, awanse. Więc jak w takiej sytuacji wpuszczać do szkoły lekarza, albo psychologa? Mogłoby potem rozwłóczyć te brudy po mieście, zaszkodzić dobrej opinii!... Nie, już raczej niech to pójdzie w zapomnienie. Tierdzie sobie piguły, czy co tam chcecie, ale w dawkach przyzwyczajonych, tak, żeby nie mdleć,

nie zasypiać; no i uczcie się dobrze, bo to jest w końcu najważniejsze...

Lupina wyskoczyła ze szkoły, mając na koncie szereg sukcesów i wyróżnień. Trafiła do liceum ogólnokształcącego. Ale łączność miasta ze wsią została utrzymana: w dalszym ciągu spotykała się z dawnymi kolegami z klasy, biorąc udział w narkotycznych orgietkach. W pisanych do niej, odkrytych przez rodziców listach, zaczęły powtarzać się nachalnie pewne nazwiska i pseudonimy: Kolba, Krokodyl, Tyka, Pastor, Milimetr, Dziśki, Baraban... Było to, jak się później miało okazać, ścisłe kierownictwo warszawsko-łódzkiej wspólnoty narkomanów-hippiesów, która egzystuje do dziś. Zajmują o zmierzchu dwa stoliki przy drzwiach i jedzą bez apetytu kluski z makiem. Poruszają się jak we mgle, na zwolnionych obrotach. Mówią cicho i trudno ich zrozumieć. Belkot. W listach, które udostępnił mi zrozpaczeni rodzice — inżynierowie, lekarze, artyści, czcigodni urzędnicy — też przeważa belkot, ale od czasu do czasu trafia się w tym szczeniackim pisaniu na trop:

„Ci hippiesi z Łodzi są okropni. Przecież wściegają, z nimi jest okropna. Razem są okropni. Pastor i Krokko to co innego i Krokodyla się CZUJE...”

„Krokko, jeżeli wyjechał, to dobrze zrobił. To,

Dalszy ciąg na str. 5



W TRZYNASTYM MIESIACU — rozmowy przedstawicieli czterech mocarstw na temat Berlina zachodniego znalazły się u szczytu zainteresowania komentatorów. Prasa zachodnia dokonała bowiem pewnych porównań propozycji radzieckich i trzech pozostałych mocarstw, przedstawiając zwłaszcza rozbieżności. Zabrał też głos rzecznik rządu brytyjskiego, który zaprzeczył, że wykazane publicznie niezgodności w obu propozycjach mogą wprowadzić rozmowy w ślepy zaułek lub spowodować ich zamrożenie. Wypowiedział się przeciwko publicznej dyskusji nad dokumentami, która może rokowania utrudnić. Lepiej — wyraził przekonanie — aby tym „niezwykle skomplikowanym rokowaniem” towarzyszyła zasada poufności. Wypowiadał o tym zdumiewająco, że post factum — wówczas, kiedy prasa zachodnia tendencyjnie ustosunkowała się do obu propozycji.

Nie wnikać w szczegóły — na przykładzie wykazmy, na czym polegają różnice w obu dokumentach. Sprawa „obecności federalnej” rządu NRF na terenie Berlina zachodniego — w myśl propozycji zachodnich — miałaby być rozwiązana w oddzielnym trybie, natomiast dostęp do miasta — w układzie czteromocarstwowym. Tak więc strona zachodnia odrzuca propozycje ZSRR, aby ten drugi problem uregulowany został na płaszczyźnie rokowań z NRD, znaczenie pierwszego zaś wyraźnie chce pomniejszyć. W jednym — podkreślają komentatorzy — jest tylko całkowita zbieżność, oba dokumenty zredagowane są w „zadziwiająco podobny sposób”. Proponują one układ czteromocarstwowy, który miałby być uzupełniony przez szereg listów.

Problem Berlina zachodniego sam w sobie niezwykle ważny, oceniany jest przez komentatorów w szerszym aspekcie — ratyfikacji układów moskiewskiego i warszawskiego. Jak bowiem wiadomo strona zachodniomocarska próbuje utrzymać między nimi ścisły kontakt.

W UB. TYGODNIU nieco więcej uwagi poświęciliśmy pewnemu żywieniu na linii Waszyngton — Pekin. Nowym elementem jest zrelacjonowana przez Edwarda Snowa wypowiedź Mao Tse-tunga, w myśl której gotów on byłby powitać w Chinach Nixona — bądź jako prezydenta USA, bądź jako turystę. Do propozycji tej ustosunkował się właśnie sekretarz stanu — Rogers, oświadczając, że wizyta byłaby możliwa po uprzednim osiągnięciu postępu we wzajemnych stosunkach. Wyjaśnił też, na czym ten postęp — zdaniem Waszyngtonu — powinien polegać: na „przyłączeniu się Chin do światowej społeczności”, „zmniejszeniu swej izolacji”, „zastosowaniu się do zasad prawa międzynarodowego”. Nie sądzimy — mówił dalej — aby polityka CHRL uległa zmianie, jesteśmy jednak w dużym stopniu zadowoleni z jej ostatnimi gestami. Mówił również o tym, że kroki na rzecz poprawy stosunków z Pekinem nie powinny stworzyć żadnych problemów dla „Chin nacjonalistycznych” oraz o możliwości przyjęcia CHRL do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wspomniał wreszcie o „przypadkowych korzyściach”, jakie mogłyby wynikać z polepszenia kontaktów z CHRL, „denarwując jedną lub drugą stronę”. Cała ta wypowiedź Rogersa nie pozostawia wątpliwości, iż USA będą prowadziły „politykę usmiechów”, aby rozwijać pingpongową dyplomację, której cele omawialiśmy przed tygodniem.

RAZ JESZCZE powróćmy do tematu ub. tygodnia — bliskowschodniego etapu podróży Rogersa. Do wizyty sekretarza stanu w Kairze nawiązał w swym 1-majowym wystąpieniu prezydent ZRA — Sadat, stwierdzając, że pierwszego od 1953 roku wysłannika administracji waszyngtońskiej przyjmie bez uprzedzenia, ale też w przekonaniu, że gość wyraźnie określi stanowisko USA wobec kryzysu bliskowschodniego. „Zjednoczona Republika Arabska — przypominał prezydent — otworzyła wszystkie drogi, prowadzące do osiągnięcia pokoju i odpowiedziała na propozycje wysłannika ONZ na Bliski Wschód dr Jarringa...”

W wystąpieniu szefa państwa egipskiego znajdujemy potwierdzenie gotowości zaakceptowania dalszego terminu przerwania ognia w zamian za otwarcie Kanału Sueskiego. Jarring mógłby wówczas opracować terminarz wycofywania się wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów arabskich. Nie może być bowiem mowy o pozostawieniu Izraela w jakiegokolwiek formie na południu Półwyspu Synajskiego. Gotowość politycznego rozwiązania kryzysu nie jest równoznaczna z ustępowaniem na rzecz agresora.

W ten sposób ZRA raz jeszcze — i to tuż przed wizytą Rogersa — wyłożyła swe stanowisko. Co powiedzą sekretarzowi stanu przywódcy izraelscy? Co on sam wniesie do zwycięstwa politycznej drogi rozwiązania problemu?

W licznych kotach politycznych przeważa sceptycyzm. Izrael podtrzymuje przecież żądania, nie dając się popodzić z poglądami sygnatariuszy rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Albo więc dojdzie w Tel-Awiewie do ostrej wymiany zdań i otwartej konfrontacji stanowisk, albo Stany Zjednoczone znów ulegną „raejom” Izraela. I w jednym i w drugim wypadku podróż Rogersa może zakończyć się niczym.

NA ZAKOŃCZENIE przeglądu odnotujmy dwa ważne fakty w kalendarzu aktywności polskiej dyplomacji: wizytę min. S. Jędrzejowskiego w Japonii oraz pobyt w Warszawie sekretarza stanu francuskiego MSZ — de Lipkowskiego. Na dwóch kontynentach, niemal w tym samym czasie, prowadziliśmy rozmowy na temat bezpieczeństwa krajów i rozwoju współpracy.

W. SŁAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

Zeznania naocznych świadków

„DAILY WORLD” — NOWY JORK

Relacje dwudziestu weteranów wojny wietnamskiej świadczą dobitnie, iż tortury i zabójstwa dokonywane w Wietnamie na ludność cywilną są milcząco aprobowane przez władze wojskowe.

Byli wojskowi złożyli zeznania przed Narodowym Komitetem Weteranów d/s badania amerykańskich przestępstw wojennych, którego posiedzenia odbywały się równocześnie z procesem porucznika W. L. Calley'a w Fort Benning.

Szczegółowy opis tortur przedstawił 26-letni Peter Norman Martinsen z Los Angeles. Martinsen skończył wojskową szkołę wywiadowczą i w latach 1963—67 przebywał w Wietnamie, gdzie służył w jednostce wywiadu wojskowego przy 11 pułku pancernym 9 dywizji. Do zakresu jego obowiązków należało przesłuchiwanie osób podejrzanych.

„Jedną noc utkwiała mi szczególnie w pamięci. Przesłuchiwałem starego mężczyzny. Porucznik cały czas żądał, żebym go „rozwałił”. Uderzyłem starca i złamałem mu szyję”.

Martinsen opowiedział, jak pewnego partyzanta przywiązano do stołu i podłączono go do iskrownika telefonu polowego. Jeden z przesłuchujących wbił mu drzazgi bambusowe pod paznokcie.

„Widziałem, jak podobnym torturom poddawano kobietę i 16-letnie dziewczynki. Mówiono nam: Róbcie co chcecie, tylko nie zostawiajcie śladów”.

Jak mówi Martinsen, jego dowódca w stopniu majora nie tylko wiedział o torturach, ale również sam brał w nich udział. W styczniu 1966 roku zmarł jeden z jeńców. Kapitan, prowadzący przesłuchanie, przyznał, iż torturował badanego prądem elektrycznym. Jeniec zmarł wskutek ataku serca.

„Złożyłem o tym meldunek majorowi — opowiada Martinsen. Dwukrotnie rozmawiał z nim o tym sędzia wojskowy i do tego ograniczono całą sprawę. W Wietnamie robią to wszyscy. Rzecz polega na tym, iż leży to w programie ogólnej polityki, prowadzonej za milcząca zgoda dowództwa na wszystkich szczeblach”.

Michael Youll ze stanu Nowy Jork powiedział, iż niejednokrotnie był świadkiem masakry i torturowania przy użyciu prądu elektrycznego.

„Wszystko to jest ujęte w odpowiedniej instrukcji. Poznaliśmy ją podczas tajnego szkolenia w Fort Holaberrde. Mówiono nam, że byśmy nie zostawiali śladów”.

Dowódca oddziału, w którym służył Youll, zapewniał dowództwo, iż posiada wiarygodne informacje, które rzekomo zdobył podczas przesłuchania jeńców. W rzeczywistości nie podobnego nie miał. Niemniej jego „pewne informacje” zostały wykorzystane przy planowaniu nalotów bombowców B-52.

„Oni telefonowali do nas i prosili: Dajcie nam jakikolwiek współrzędne. Musimy rozchodować zapasy amunicji. Zazwyczaj dawaliśmy im współrzędne rejonów gęsto zaludnionych”.

Garry Battels z Chersterland, stan Ohio, składając zeznania ledwo powstrzymał łzy. W toku pewnej operacji bojowej jego oddział wkroczył do wsi. Żołnierze uznali, że jest to wieś partyzancka, ponieważ w

jednej chacie znaleźli na stole szesnaście talerzy ryżu, chociaż znajdowały się w niej tylko dwie kobiety i dziecko. Jeden z żołnierzy wrzucił starą kobietę i dziecko do studni, a w ślad za nimi — dwa granaty.

Sierżant 4 batalionu 11 brygady piechoty, John Baitzel, opowiedział, że widział nieraz, jak partyzantom obcinano uszy i wyrzynano ręce. Któregoś dnia był świadkiem, jak żołnierze zastrzelili trzynastu „partyzantów” — dziewięć kobiet, troje dzieci i jednego wyrostka. Wszyscy oni zostali później zakwalifikowani jako „straty Wietcongu”.

Okrutny stosunek do ludności cywilnej już od dawna jest zjawiskiem powszechnym. Mieszkańców wsi zgania się na roboty, zatrzymanych z reguły bije się, żołnierze zabawiali się często odganiając dzieci strumieniami płonącej benzyny. „One nas zdręzczały, żebrząc o jedzenie”. Na pytanie, czy meldował o tym dowództwu, Baitzel odpowiedział przecząco.

„To jest bezcelowe. Tym, którzy mieli na swym koncie zabitych, dawano w nagrodę skrzynkę piwa, a później — trzydniowy urlop” — powiedział on.

Stephen Notsell, pracujący w firmie „Bell System”, mieszka z żoną i trojgiem dzieci w Floreal Park, stan Nowy Jork. Od maja 1963 do maja 1964 roku służył w V grupie wojsk do specjalnych poruczeń. Oświadczył on, iż w listopadzie 1963 roku był świadkiem, jak 16 jeńców, związanych za szyje po ośmiu, załadowano do dwóch śmigłowców, żeby dostawić ich do Sajgonu. Strzelili ich żołnierze z marionetkowych wojsk sajsańskich, ale pilotami i strzelcami pokładowymi byli Amerykanie. Kiedy śmigłowce wylądowały w Sajgonie, z pierwszego wyproszono tylko jednego jeńca, a z drugiego — trzech.

„Nie mogłem tego zrozumieć — opowiadał Notsell — i spytałem jednego ze strzelców, co się stało. Odpowiedział, że jeńców wyrzucono z pokładów. Śmigłowce były zbroczone krwią. Gdy pułkownik spytał kapitana marionetek sajsańskich, co to wszystko znaczy, ten odparł, iż jeńcy próbowali uciekać...”.

Notsell był naoczny świadkiem „pokazowego” przesłuchania starca i 16-letniego chłopca przy użyciu prądu elektrycznego. Zorganizowali je Amerykanie w miejscowości Tan-Fu. „Związano ich za nadgarstki, a do organów płciowych przytwierdzono elektrody”. Jak opowiada Notsell, torturom przysługiwało się około stu wojskowych z marionetkowych oddziałów sajsańskich i tyleż osób cywilnych. Opo wiedział on również i o innych torturach, kiedy jeńców umieszczano w skrzynkach w kształcie trumien. Ich dno i ścianki były „obite” drutem kolczastym. Skrzynie te wraz z jeńcami wystawiano na działanie morderczych promieni słonecznych. Nocą opryskiwano jeńców specjalnym płynem, wabiącym moskity. Związanych jeńców zanurzano też w cuchnących ściekach z rur kanalizacyjnych.

Kenneth Osborne służył w wojsku w Wietnamie od roku 1966 do 1969. Będąc w wywiadzie nigdy nie nosił uniformu wojskowego i uchodził za cywilnego „doradcę”. Osborne dowodził grupą, składającą się z 40—50 informatorów. Uposa-

żenie wypłacano mu w Sajgonie, z CIA. W marcu lub kwietniu 1968 roku pewien porucznik piechoty morskiej, także pracownik wywiadu, zaproponował Osborne'owi odbycie lotu śmigłowcem. Na pokładzie znajdowało się jeszcze dwóch czy trzech żołnierzy i dwóch jeńców.

Po piętnastu minutach lotu porucznik zaczął indagować jednego z jeńców: „Czy pomagales partyzantom Wietcongu? Czy byleś kiedykolwiek w zakazanych rejonach?” Na wszystkie pytania Wietnamczyk odpowiadał: „Nic nie wiem”. „To nawet nie warto wiecie ciebie z powrotem” — powiedział porucznik i kazał żołnierzom wyrzucić go ze śmigłowca. Lecieliśmy wtedy na wysokości 70—100 metrów.

Osborne zeznał, iż nieco później był świadkiem identycznej sceny, tylko tym razem nie był to porucznik, lecz kapitan, który mu powiedział, że „dla piechoty morskiej jest to rzecz całkiem zwykła”.

Kiedy po powrocie do Stanów CIA zaproponowało Osborne'owi dalszą współpracę, odrzucił tę propozycję. Na pytanie, czy uważa się za przestępcę wojenny, Osborne odpowiedział: „Tak”.

Charles Locke, ze stanu Maryland, odbywał służbę w dywizji „Americal”. Zeznał on, że jego dowódca „nie lubił jeńców”. Gdy pewnego razu zameldowano mu, iż w

toku operacji bojowej wzięto jeńca, dowódca spytał znacząco: „Wzięto?...” Wówczas jeńca zastrzelono i zameldowano dowódcy, że „w czasie akcji bojowej został zabity jeden żołnierz wroga”. „Doskonałe” — powiedział oficer. „Potrzebni mi są jeszcze trzy zabici”. Jak mówi Locke, dowódca oddziału musiał mieć jeszcze siedmiu zabitych, żeby otrzymać stopień majora.

Zeznania innych świadków odniosły dalsze barbarzyństwo. Robert Andersson z Minneapolis opowiedział, jak na jego oczach amerykański żołnierz związał starą Wietnamkę, rzucił na wiązkę chrustu i usiłował spalić ją żywcem. Robert Osmen z Arlington, stan Wirginia, był świadkiem innego przestępstwa: Wietnamczyka rozpięto na drzewie i rozerwano dynamitem. Psychiatra Gordon Livingstone z 11 pułku zwiadowczego, którego dowódcą był pułkownik George Patton, powiedział, że któregoś dnia kapelan pułkowy przeczytał następującą modlitwę: „Boże, pomóż nam wykonać rozkaz bojowy, oświeć rozum, żeby odszukać przeklętego wroga i daj siłę, aby się z nim rozprawić”.

Pułkownik Patton zyskał rozgłos, kiedy to na Boże Narodzenie 1968 roku wysłał kolorową kartę z życzeniami, na której widniał stos zmasakrowanych zwłok, a u góry napis: „Pokój na Ziemi”.

U progu nowych odkryć

„NEW SCIENTIST” — LONDYN

Bezzałogowe i załogowe loty orbitalne, zapoczątkowane wystrzeleniem pierwszego sztucznego sputnika Ziemi i triumfalną podróżą kosmiczną Jurija Gagarina, stały się już zjawiskiem niemal codziennym.

Rozpoczął się podbój Księżyca. Stworzone przez człowieka automaty dokonały miękkiego lądowania na Wenus i przemknęły w pobliżu Marsa. Ludzkość znajduje się u progu jeszcze większych osiągnięć kosmicznych. Ale jak daleko w głąb przestrzeni kosmicznej może dotrzeć człowiek?

Nawet gwiazda najbliższa Ziemi, nie licząc Słońca, Alfa Centaura, znajduje się w odległości 4,3 lat świetlnych od naszej planety. Starek kosmiczny, napędzany zwykłym paliwem chemicznym mógłby dolecieć do niej dopiero za setki tysięcy lat. Ale rakietą fotonową, której budowę rozważa się obecnie w Związku Radzieckim i USA, mogłaby dolecieć do tej gwiazdy w ciągu sześciu lat i dwóch miesięcy, czyli jej lot w obie strony trwałby dwanaście lat i cztery miesiące. Mając pręto na uwadze te i inne potencjalne możliwości techniczne, można z całą pewnością powiedzieć, iż nigdy nie będzie sztywno ustalonych owoch „granic ostatecznych”. Na razie penetracje kosmiczne ograniczają się do sfery „bliskiego Kosmosu” i osiągnięcia w tym zakresie prześcignęły wszystko, o czym tylko śmiały marzyć człowiek zaledwie dziesięć czy piętnaście lat temu.

Ale nawet „bliski Kosmos” jest tak ogromny, jeśli mczna użyć takiego określenia, iż jego dokładniejsze badanie wymaga wielkiej ilości lotów kosmicznych wraz z ich niebezpieczeństwami i wielkim nakładem kosztów. Wyjściem z tej sytuacji będzie, najprawdopodobniej, skonstruowanie stałych załogowych i automatycznych laboratoriów orbitalnych, warsztatów kosmicznych itp. co pozwoli na rzadsze wystrzeliwanie rakiet i jednocześnie znacznie udoskonalą metody badań kosmicznych. Zarówno w ZSRR, jak i w USA opracowuje się koncepcje stacji orbitalnych i statków kosmicznych, a jednym z głównych motywów budowy radzieckiego statku kosmicznego „Sojuz” było rozwiązanie tej drogi problemu orbitalnych akcji ratowniczych.

Popieraając ideę Ciolkowskiego, wydaje się słuszną i rozumna myśl stworzenia człowiekowi szans na „uniesienie się w Kosmos”, aby mógł zobaczyć własnymi oczami, jak to właściwie wszystko wygląda. A poza tym zawsze było, jest i będzie coś, co człowiek będzie musiał sam zrobić w Kosmosie. Jednakże już z samych praw przyrody wynika, iż przyszłość dalszych badań kosmicznych będzie zależała przede wszystkim od bezzałogowych stacji kosmicznych. Liczba i charakter takich obiektów szybko wykaże, kto gra wiodącą rolę a kto pozostaje w tyle w tym wielkim zamierzeniu.

Zawszqd o wszystkim

PIOTRKOWSKA I RESZTA

Złośliwi mówią najczęściej o Łodzi, że składa się z ulicy Piotrkowskiej i reszty. Dziś można byłoby odwrócić proporcje i powiedzieć, że Łódź składa się z reszty i ulicy Piotrkowskiej. Ta „reszta” to nowe osiedla, wybudowane po wojnie. Ważą one w skali miasta już więcej niż ulica Piotrkowska, a przecież nie zmieniły jej tradycyjnego charakteru i funkcji. Ale takie odwrócenie proporcji nie będzie odpowiadać prawdzie, bo w końcu nie ma i nie może być podziału na jedną ulicę i całą resztę. Dlatego wszelkie rozważania o Łodzi, które — jak to miało miejsce w dyskusji o Piotrkowskiej, publikowanej 18 kwietnia br. na łamach „Odgłosów” — biorą za punkt wyjścia Piotrkowską jako „pępek miasta”, są nieporozumieniem. Dowodzą, że dotychczasowa skala, w jakiej rozwijało się miasto, a która nie odpowiada funkcjom Łodzi w krajowym organizmie gospodarczym, wywarła ujemne piętno w mentalności wielu łodzian.

Rozważania o konieczności przebudowy centrum miasta, a bez tego nie można nawet marzyć o modernizacji Łodzi, obudziły różnorodne obawy u miłośników łódzkiej zabytkowej i łódzkiej secesji. Trudno mi jednak zrozumieć te obawy, gdyż — jak zapewnia we wspomnianej dyskusji miejski konserwator Antoni Szram — ul. Piotrkowska na odcinku od Głównej do pl. Wolności będzie zachowana w całości ze względu na „dość jednolity koloryt architektoniczny”. Nie więc ul. Piotrkowskiej nie grozi. Jaki w tej sytuacji sens ma jej obrona? — I przed kim?

Istnieje natomiast inny problem, którego nie dostrzega się często w dyskusji o ul. Piotrkowskiej. Mam na myśli jej miejsce i rolę w przyszłym, zmodernizowanym centrum miasta.

„Dopiero nowy ogólny plan zagospodarowania przestrzennego Łodzi — stwierdził we wspomnianej dyskusji Janusz Mackiewicz — traktuje Piotrkowską jako jeden z rejonów centrum, obok rejonów ul. Głównej, Traugutta, placu Wolności. Faktycznym centrum usługowo-handlowym była jednak Piotrkowska zawsze i moim zdaniem rolę jej nie tylko nie zmaleje, ale będzie wzrastać”.

Jednak Antoni Szram jest bardziej szczerzy w swojej opinii:

„Będziemy też dążyć do powiązania Piotrkowskiej z nowo ukształtowanymi zespołami centrum w rejonie: Kilińskiego, Sienkiewicza i Głównej”.

Bo przecież teraz nie ma jeszcze żadnej koncepcji przebudowy centrum, po-

wiązania go z innymi dzielnicami miasta, zmodernizowania miejskiej komunikacji. I dlatego mam wątpliwości, czy można dyskutować o ulicy Piotrkowskiej w oderwaniu od koncepcji przyszłej Łodzi — nowoczesnego ośrodka nowoczesnego przemysłu lekkiego. I dlatego m. in. trudno jest mi zgodzić się z opinią, że „cała Piotrkowska jest zabytkowa i powinna podlegać ochronie na całej swej długości”. Bowiem jest to pogląd oderwany od rzeczywistości, abstrakcyjny, nie wynikający z faktu, że ulica ta jest częścią wielkiego miasta, które musi ulec modernizacji. Można oczywiście pięknie tej ulicy, o jej przeszłości, o licznych wartościowych detalach architektonicznych. Tym bardziej, że przeszłość jej pięknie opisała w swojej książce prof. Anna Rynkowska, a architektoniczne uroki dokładnie narysował Wacław Kondek. Tylko, że nie o to chodzi.

W przeszłości miasto rozwijało się w układzie podłużnym — z północy na południe i w tym układzie ukształtowały się zasadnicze szlaki komunikacji miejskiej. Budowa nowych osiedli — Kuraka, Dąbrowy, Nowego Rokicia, Teofilowa, Wielkopolskiej, Zubardzia i Dołów — była próbą zmiany dotychczasowego układu miasta na koncentryczny. Przebito nowe ciągi komunikacyjne, ale nie wszystkie i nie do końca. Tak jest np. z ul. Zachodnią i al. Kościuszki, z ul. Żeromskiego i al. Politechniki. I właśnie dlatego ul. Piotrkowska pozostała osią komunikacji między północą i południem. Na obu krańcach tej osi leżą 2 dzielnicowe centra: Bałut — Bałucki Rynek i Górnej — pl. Niepodległości. Chcąc więc „bronić ul. Piotrkowskiej”, trzeba odpowiedzieć na pytanie, co zrobić z komunikacją na tej osi? Przecież nie można jej skierować na ul. Kilińskiego, która nie spełni tej roli w obecnym swoim kształcie. Nie można więc serio rozmawiać o przyszłości Piotrkowskiej, nie traktując jej w istniejącym i przyszłym układzie komunikacyjnym miasta. Na XV Łódzkiej Konferencji Partyniej zupełnie jednoznacznie stwierdzono, że problem komunikacji miejskiej w Łodzi jest jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań do wypełnienia. Trzeba zatem poszukać odpowiedzi na pytanie: jakie ma być miejskie ul. Piotrkowskiej w nowym układzie komunikacyjnym? Takiej odpowiedzi nie znalazłem jednak w Odgłosowej dyskusji.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że przedmiotem tej dyskusji była architektura Piotrkowskiej. Mówiąc o jej zabytkowej

wartości, chciano w momencie przygotowywania planów przebudowy śródmieścia zwrócić uwagę na potrzebę zachowania choć części tej ulicy. Ale przecież nie ma takiego niebezpieczeństwa. Nikt nie chce burzyć całej Piotrkowskiej — że jeszcze raz przypomnę zapewnienie Antoniego Szrama. W Łodzi są inne fragmenty — i to nie tylko przy ul. Piotrkowskiej — które trzeba zachować, wkomponować w przyszły kształt miasta. Zadaniem historyków, architektów i plastyków jest wskazanie tych fragmentów. Resztę trzeba będzie bezlitośnie zburzyć, przebić nowe ulice, wybudować parkingi, nowe domy, sklepy, kina, kawiarnie i restauracje. Trzeba będzie wreszcie wpuścić więcej świeżego powietrza do śródmieścia, zrobić nowe place i skwery. A domy łódzkiej tkaczy przenieść do projektowanego od dawna skansenu. Miastu potrzeba bowiem centrum z prawdziwego zdarzenia i zbudowanego w rzeczywistej skali. Dobrze byłoby w takiej skali spojrzeć dopiero na fragment ulicy Piotrkowskiej, który ma być zachowany. Ale takiego spojrzenia nie znalazłem w dyskusji zrealizowanej na łamach „Odgłosów”.

Trudno mieć pretensje do uczestników tej dyskusji, gdyż starali się odpowiedzieć na pytanie, jakie im postawiono. Można

natomiast mieć pretensje do organizatorów dyskusji, że nie potrafili dostrzec rzeczywistej problematyki miasta i sprawy architektury oderwali od całokształtu problemów przebudowy śródmieścia. Dyskutowano więc na temat nie podlegający dyskusji, a że tak było niech posłuży jeszcze fragment wypowiedzi Konrada Frejdlcha:

„Przyznam się, że liczę na to, iż po opublikowaniu stenogramu tej rozmowy, napłynie do redakcji sporo listów na temat przyszłości ulicy Piotrkowskiej. Do myślam się, że będą to listy popierające zgłoszone tutaj postulaty, choć w myśl starej zasady: audiatūr et altera pars, warto zapoznać się także z głosami ewentualnych oponentów”.

Skoro aż taka pewność własnej racji, to po co dyskusja? Wydaje mi się, że wynika ona ze zbyt ograniczonego widzenia rzeczywistości miasta. A to nikomu nie przynosi korzyści. Tymczasem Łódź wchodzi w okres intensywnych przemian, rozpoczęła się praca nad przyszłym jej kształtem, zaczynają powstawać koncepcje i plany i w takim czasie nie można obracać się tylko w kręgu własnych wyobrażeń, choćby były one nie wiem jak atrakcyjne.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Do napisania poniższych uwag (co do których ze względu na diametralnie przeciwne poglądy Redakcji nie mam pewności czy będą zamieszczone) skłonił mnie artykuł, a raczej dyskusja pod tytułem „Piotrkowska”, zamieszczona w 700 numerze bardzo ciekawego pisma.

Zanim więc wyjawię swe poglądy szczególne, muszę oświadczyć co następuje: nie rozumiem żadnej odmiany lokalnego patriotyzmu. Jako urodzony w województwie poznańskim, wcale nie uważam, ani aby Poznań był najpiękniejszym miastem w Polsce (jest nim wg mnie Wrocław), ani także nigdy nie biorę udziału w śmieśnych dla mnie sporach warszawsko-krakowskich (zmieszanych z obu stron z zastanawiającą pogardą).

Niestety, nie mogę jednak inaczej, niż jako objaw lokalnego patriotyzmu, rozumieć dyskusję nad Piotrkowską, z pozejmy oceny tej ulicy jako „ładnej”.

Kiedyś w 1946 roku wydając „Film” w Łodzi z nieodwołalnym redaktorem Kowalskim, red. red. Giżyckim i Pitera ustaliliśmy kolejność światowych katastrof (oczywiście żartobliwie):

a) najgorsza — dworzec w Kuluszkach;

b) druga z rzędu — Piotrkowska;

c) trzecia — bomba atomowa;

d) dopiero czwarta — „Przedsiębiorstwo Państwowe Film Polski”, w którym wszyscy pracowaliśmy.

Tak więc, po okrutnym (dawnie zlikwidowanym) baraku w Kuluszkach, Piotrkowska miała w naszych oczach „zaszczytne” drugie miejsce.

Oczywiście nie chcę i nie mogę mówić o takiej czy innej „zabytkowej” ważności być może jednej w Polsce całkowicie zachowanej tak długiej secesyjno-eklektycznej ulicy i wcale nie wzywam do jej zniszczenia. Przeciwnie być może za sto lat będzie to swego rodzaju „skansen”. Jednakże naprawdę nie mówmy o urodzie, bo tu już we mnie dusza historyka sztuki się wzdraga. Piotrkowska, swego czasu odmalowana jaskrawo, była istnym „wawozem grozy”; idąc człowiek ze strachem obrażał się na wszystkie strony, bącząc czy nie spadnie mu na głowę złoty aniołek, lilowa karłyda czy pomarańczowy gymś. Na szczęście dymy Łodzi w przeciągu 6 miesięcy w niwecz obróciły pracę malarzy i chyba miliony wydanych złotych teraz nie widzą tych imitacji stylów minionych znów jako tako można „oddychać”. Style bowiem — niezależnie od tego,

jakim styl jest czymś faworytem — są piękne tylko wtedy, gdy autentyczne.

W przeciwnym razie musielibyśmy bronić „gotyckich” kościołów w Zyrardowie, Kutnie, Radomiu, Siedlcach czy wreszcie koszarę św. Floriana w Warszawie? To także są bowiem dokumenty pewnej epoki ale jak przerażającej, jak — właśnie bezstylowej — imitatorskiej.

Ani neoklasycyzm, ani neobarokizm(?), ani secesja nie wniosły nowego do architektury i do tak zwanego wystroju. I chociaż mieszkania w takich domach są nieskończenie lepsze niż w budowanych obecnie klatkach na lwy, zwanych dla zmylenia przeciwnika także „mieszkaniami” — to jednak tylko dla jej użyteczności — można bronić Piotrkowskiej, nie naprawdę nie jako „pięknej ulicy”.

Choć — przyznaję — to co potem nastąpiło jest już zupełnie katastrofą. Jeszcze w XIX wieku człowiek, którego by ze spadochronem zrzucili na jakikolwiek przedmiot sobie znane miasto — wiedziałby gdzie jest. Dzisiaj: Chicago, Moskwa, Jassy, Mediolan, Łódź, Hamburg, Lyon, Bern w swych nowych dzielnicach z wyjątkiem wykonawstwa nie różnią się niczym. Smutny świat bez architektury...

LEON BUKOWIECKI

Dni Oświaty, Książki i Prasy

Konkurs literacki

W konkursie, którego zadaniem publikować będziemy przez cały maj, nie odstępujemy od zasad znanych Czytelnikom z poprzednich konkursów. Odpowiedzi — na kartach pocztowych — można nadsyłać na wszystkie zadania konkursowe, można też rozwiązać jedno z nich. Losowanie nagród odbędzie się po zakończeniu konkursu. Ci, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania i nadesłały trafne odpowiedzi, automatycznie zwiększą swe szanse w losowaniu.

Organizatorzy konkursu: WYDZIAŁ KULTURY RADY NARODOWEJ M. ŁODZI, WYDZIAŁ KULTURY WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ W ŁODZI, WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE, PP „DOM KSIĄŻKI” I REDAKCJA „ODGŁOSÓW”. Dla zwycięzców konkursu przygotowano nagrody:

- * Dwa komplety po 15 płyt. A. Mickiewicz „Pan Tadeusz” — po zł 700.—
- * Dwie reprodukcje malarstwa (L. Wyczółkowski — „Orka”) — po zł 400.—
- * Pięć egzemplarzy Małej Encyklopedii Powszechnej PWN — po zł 250.—
- * Dziesięć albumów fotograficznych pt. „Łódź”, WL. — po zł 100.—
- * Dwadzieścia bonów książkowych po zł 100.—

Odbierać je będą nasi Czytelnicy w pięknej, nowoczesnej księgarni „Domu Książki” przy ul. Piotrkowskiej 11, która w tych dniach została otwarta.

ZADANIE KONKURSOWE NR 1

Plastyk zaprojektował okładki do książek łódzkich pisarzy: HELENY DUNIN, WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA, JERZEGO URBANKIEWICZA I EWY OSTROWSKIEJ.

Na okładkach jednak brak tytułów. Niewielki to jednak kłopot. Spośród podanych niżej dziesięciu tytułów wybrać należy prawidłowe i połączyć je z nazwiskiem pisarza.

1. „Szpak, ptak wiosenny”, 2. „Widok z Księżego Młyna”, 3. „Dymy nad Birkenau”, 4. „Jutro przylecą ptaki”, 5. „Muzy przy krosnach”, 6. „Kwitnienie róż”, 7. „Kwiaty wśród dymów”, 8. „Widok z mostu”, 9. „Dziewięć muz”. 10. „Ptaki na niebie”.

Wpisane na karcie pocztowej rozwiązanie (nazwisko autora i tytuł książki) prosimy nadesłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy” — „Konkurs literacki”.



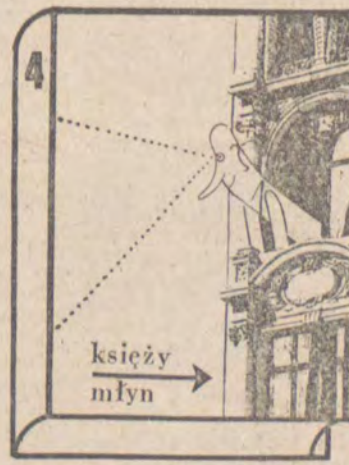
JERZY URBANKIEWICZ



EWA OSTROWSKA



HELENA DUNIN



WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Do decyzji, że Zamek Królewski będzie odbudowany, przyzwyczajaliśmy się szybko. Po burzliwej, lecz krótkiej dyskusji nad celowością owej decyzji padają pytania inne: jaki mianowicie będzie ten nowy Zamek, jakie winno być przeznaczenie owego pomnika narodowej jedności i państwowości polskiej. Czy będzie to twór architektoniczny całkowicie nowy, czy też ocalałe z zagłady wojennej elementy pozwolą przynajmniej w fragmentach odtworzyć Zamek autentyczny? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wiedzieć przede wszystkim, co właściwie ocalało i co warte jest rekonstrukcji. Wiadomo na przykład, że wnętrza w narożu od Placu Zamkowego służące za biura i gabinety carskich general-gubernatorów przez liczne restauracje i przebudowy wyzute zostały z wszelkiego stylu, pozbawione niemal wszystkich wartościowych elementów architektonicznych tym bardziej, że już w XVIII wieku ich wystrój pozostawiał wiele do życzenia. Te sale Zamku trzeba będzie stworzyć od nowa — jaki będą miały kształt, trudno w tej chwili przewidzieć.

Oflarne akcje pracowników Muzeum Narodowego. Wydziału Technicznego Zarządu Miejskiego i mieszkańców Starówki w 1939 i 1940 roku uratowały od zagłady i grabieży wiele cennych przedmiotów z ruchomego wyposażenia zamkowych komnat, wiele fragmentów detali architektonicznych, które posłużyły jako wzory. Podczas odgruzowywania terenu zamkowego w pierwszych latach wolności znaleziono i zabezpieczono przeszło 4000 elementów rzeźbiarskich i kamieniarskich. Swoistym magazynem jest, o czym mało kto wie, podwórce domu przy Alejach Ujazdowskich. Fronton zdobią dwa ogromnych rozmiarów atlanty, a w ściany podwórza wmurowane zostały fragmenty architektoniczne, które właściciel domu, malarz, konserwator i kolekcjoner, Antoni Strzałek, zbierał skrupulatnie w czasie, gdy Rosjanie przeprowadzali liczne remonty i renowacje sal zamkowych. Ta jedyna w swoim rodzaju wystawa-magazyn ocalała z pokoi wojny i powstania. Przypuszczać należy, że jej eksponaty wrócą niedługo na swoje dawne miejsce.

Wielu sądzi, że z Zamku Królewskiego nie ocalało nic, krom fundamentów, gotyckich i renesansowych piwnic oraz fragmentu muru z oknami pełnymi nieba (jedno z nich było oknem pokoju, w którym pracował i umarł Żeromski). Ocalało jednak w terenie Zamku o wiele więcej. Stoj mianowicie na swoim miejscu

Wieża Grodzka i Brama Grodzka. Ocalało skrzydło Biblioteki Stanisława Augusta z już odrestaurowaną Salą Kolumnową. Ostał się Pałac pod Blachą, który od XVIII wieku włączony był w kompleks zamkowy. Tu właśnie znalazły schronienie rokokowe wnętrza zamkowe, przeniesione jeszcze przed wojną w trakcie prac konserwatorskich w jednofilaryjnych salach Wazów — są

ANDRZEJ GRUN

JAKI BĘDZIE?

niemal kompletne. Ostały się duże fragmenty dawnej pracowni Bacciarellego, która odbudowana mieści w sobie Pałac Ślubów. Wreszcie na koniec ocalał mur gotycki, idący w kierunku Kannonii oraz tarasy zamkowe na zboczu nadwiślańskiej skarp.

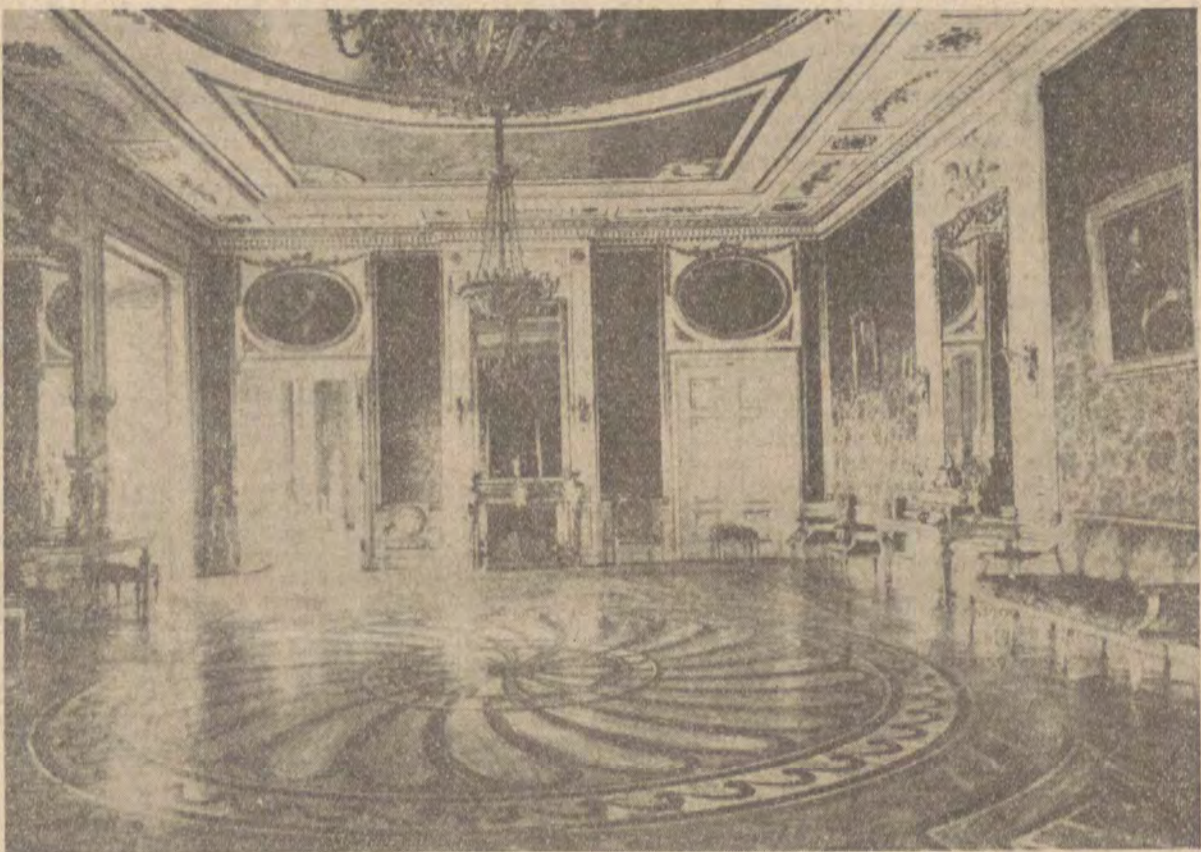
Kiedy więc zsumujemy istniejącą architekturę w terenie, ocalałe dzieła sztuki z sal i komnat, zachowane fragmenty gzymsów, kapiteł, stiuków, posadzek, boazerii, kominków itp. i dodamy do tego jeszcze obszerną i bogatą dokumentację — plany, opisy, ponad trzy tysiące zdjęć oraz inny materiał ikonograficzny, przekonywamy się, że mówić należy raczej o rekonstrukcji Zamku — budynku, który powstanie, będzie nowy, lecz jego poszczególne elementy będą autentyczne. Odnosi się to przede wszystkim do wyposażenia samych komnat. Ubiegłoroczna wystawa Bacciarellego w Muzeum Narodowym i trwająca aktualnie tamże wystawa ocalałych dzieł sztuki z zamkowych pokoi dowodnie świadczą, iż wiele wnętrza może być przywróconych do stanu pierwotnej świetności. Istnieje w całości Sala Rycerska: sześć obrazów historycznych Bacciarellego z lat 1782—86, dziesięć owalnych podobizn wielkich Polaków tegoż malarza, dwadzieścia dwa brązowe popiersia dłuta Andre Lebruna, pierwszego nadwornego rzeźbiarza; jest też Chronos (fen, który stoi w hallu Muzeum Narodowego) i Ślawa — dwa z białego marmuru posagi. Są ponadto gzymsy, stiuki, boazerie i obszerna dokumentacja. Jest prawie wszystko z Gabinetu Marmurowego, tego samego, który stał się tematem „Ody” Naruszewicza w 1771 roku, a którego koncepcja powstała jeszcze za Władysława IV — więc poczet królów pol-

skich; alegoryczne rzeźby Lebruna (obecnie w Wilanowie, w Galerii Portretu Polskiego), stary wczesnoklasykcyjne zegary. Z Gabinetu Konferencyjnego uratowano wszystkie portrety panujących władców europejskich, współczesnych Stanisławowi Augustowi, więc płótna Gainsborougha, Per Kraffta, Roslina, Bottoniego, a także malowidła Jana Bogumiła Pierscha wykute ze

ocalały autentyk ma dla nas tysiąckrotną wartość. Toczy się dyskusja, jakie winno być przeznaczenie zamkowych pomieszczeń, aby wykorzystane były one w pełni i żyły tak, jak żyją wnętrza Wawelu. Komisja Naukowa Komitetu Obywatelskiego Odbudowy Zamku wysunęła wstępny projekt, aby Zamek Królewski przekształcić w Muzeum Kultury Narodowej. Wedle tego projektu piwnice mieściłyby, zgodnie z tradycją, Skarbiec zamkowy, którego podstawę stanowiłyby zbiory Muzeum Narodowego, obejmujące eksponaty od XIII do XIX wieku. Parter, gdzie znajdowały się renesansowe komnaty z epoki Zygmunta Augusta, obrazowałyby Sredniowiecze i Odrodzenie Polskie. Apartamenty króla Stasia w liczbie dwudziestu sal mają podstawę, aby odtworzone je niemal dosłownie. Wraz z Łazienkami stanowiłyby wyrazisty dokument polskiej odmiany wczesnego klasycyzmu, potocznie zwanego „stylem Stanisława Augusta”. Zrekonstruowana Sala Sejmowa Senatu upamiętniona uchwaleniem Konstytucji 3 Maja mieściłaby w sobie dokumenty konstytucyjne polskie od pierwszych, po Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W sąsiedztwie sal umiejscowić nale-

żałoby galerię obrazów historycznych Jana Matejki. Piętro drugie zajmowałyby Dzieje Kultury Polskiej, a w tym także wkład Polaków w rozwój kultury powszechnej. Następnie znalazłyby tam swoje miejsce: obraz kultury międzywojennej, zniszczenia dokonane przez wojnę i kultura Polski Ludowej. Koncepcja Komitetu Naukowego zmierza do syntetycznego skomponowania wizerunku naszej kultury bez rozdzielania na działy i gatunki sztuki.

Pomyślano i o Polonii, której odzew na hasło budowy Zamku był i jest przecież bardzo żywy. Dla niej przeznaczono parter i pierwsze piętro w skrzydle od strony Krakowskiego Przedmieścia, łącznie z dawną Sejmową Salą Poselską. Odbywałyby się tu zjazdy polonijne, występy zespołów, spotkania itp. Takie więc są propozycje. Jaki będzie ostateczny wynik dyskusji — pokaże czas. Pomysł przekształcenia Zamku w Muzeum Kultury Narodowej wydaje się logiczny i słuszny. W tym gmachu — symbolu i pomniku nie mogą się mieścić biura, kursokonferencje i tym podobne imprezy. Będąc wartością trwałą, domaga się on dla siebie wartości trwałych, pierwszoplanowych, bliskich i cennych każdemu Polakowi.



Dawna Sala Audiencyjna. Zdjęcie: IS PAN

ZIEMIA

OGNIA I WIATRU

Dalszy ciąg ze str. 1

przystąpiliśmy dopiero teraz. Złoży się na nią praca ponad 30 polskich tłumaczy.

W Związku Pisarzy Azerbejdżanów powitał nas sekretarz, Imran Aszum-Ogly Kasumow, człowiek zakochany w nauce i Morzu Kaspijskim. Wskazują na to same choćby tytuły jego książek: „Zorza nad Morzem Kaspijskim”, „Morze ludzi odważnych”, „Człowiek zarzuca kotwicę”. Nagrodę Leninowską otrzymał za scenariusz pt.: „Opowieść o natchnionych kaspijskich”. Jednym słowem — prawdziwy bakijszyk. Pojawili się także jeden z najwybitniejszych poetów starszego pokolenia, Sulejman Ali Abbas Ogly Rustam Zade. Nazwisko długie, w bardzo arabskim guście, czy może tureckim, ale poeta świetny, wyróżniony nagrodą państwową, autor sławnego „Haczag Nabil”. Jest to opowieść o zbójniku, który przypomina naszego Janosika, bo też rabował bogatych, aby rozdawać biednym i też zginął na szubienicy.

Ustaliliśmy, że dla naszych azerbejdżanów przygotowujemy polską antologię poezji,

złożoną przede wszystkim z utworów pisarzy łódzkich.

Wiatr dał jeszcze, kiedyśmy siedli do kolacji. Towarzyszył nam dyrektor TV w Baku, Nabi Alekber — Ogly Babajew i jego serdeczny druh, Dżabir Mirza Bek-Ogly Noworuzow. Nazwiska znowu przydługie, ale poeci świetni, skondensowani, rozmawiają w swych wierszach z morzem i pępynymi górami Kaukazu. Po dobrym winie — usłyszeliśmy ich wiersze w wersji rosyjskiej, Igor Sikirycki także mówił, znakomicie zresztą, swoje poezje, tylko ja jeden deklamowałem Tuwima, nie chciałem być najgorszy. Udał mi się, jak sądzę, wieczór wielkiej serdeczności i wielkiego zbliżenia.

Na dobrą sprawę — Azerbejdżan to bardzo daleki kraj. Nie chodzi o geograficzną odległość, choć w końcu to już Azja, chodzi o odmienność kultur i tradycji. Niestrudzony Adil zawiózł nas do Gobystanu. Nie podejmuję się opisać tej bezbrzeżnie smutnej, jałowej, a równocześnie najbogatszej pustyni świata. Nigdzie po drodze ani kawałka zieleni, brakuje wody, nie brakuje jednak nafty. W niemal absolutnej ciszy, pozbawionej człowieka, poruszają się pompy, groźne jak upiory, a spod suchego piasku i kamie-

ni wycieka płynne złoto, bodaj najlepszej próby w świecie. Kobestan to już tylko umierające góry, kres najdalszego marszu legionów rzymskich. Skąpy pękają, rozspływają się, latem można tu spotkać wielkie, blisko metrowe jaszczury, ale coraz rzadziej. Brak wody. Ze szczytu Kobestańskiego rumowiska widać dokładnie jak cofa się Morze Kaspijskie, jak powoli wysycha. Na skalach wesołe rysunki sprzed kilkunastu tysięcy lat, tu mieszkali ludzie bardzo dawno temu, wokół wszystko kwitło jak u nas zapewniła przewodniczka, pełne zwierząt bory, ale teraz niemal już wszystko wymarło, pozostało trochę krzewów i uparta, odporna na suszę trawa. Zaskakujące zestawienie, ludzie sprzed tysięcy lat tańczą trzymając się za ręce, a obok umierające drzewo figowe, nie znani nam poprzednicy polują na bawoła, a wokół już ani jednego człowieka, tylko pustka ciągnąca się ku morzu.

Zwiedziliśmy muzeum historyczne Republiki. Krwawe dzieje, może nawet podobne nieco do naszych. Najazdy Persów, Turków, Mongołów, Arabów, wojny, bez przerwy wojny, a na końcu został naród, którego znaczna część, przedzielona granicą Iranu, niemal zupełnie pozbawiona jest kontaktu z radzieckim Azerbejdżanem. A jednak ten kraj, rozdzierany wojnami, najazdami, pustoszoną, posiada bardzo bogatą literaturę: filozoficzną, polityczną, przede wszystkim jednak poezję, a także znakomitą facecję w rodzaju Mułły Nasredina.

W muzeum literackim smutne nas opadły refleksje, tym smutniejsze, im bardziej nam się po-

dobala olbrzymia i świetnie zaplanowana ekspozycja. Muzeum pochodzi z darów obywateli Republiki. Jakich tam musi być silny kult słowa pisanego, jaki szacunek dla pisarza, skoro tyle dostarczono rekwizytów. Pamięć, instytucja zawsze godna najwyższego szacunku, jest tu w szczególności sposobem pielęgnowania. Pisarzy malowano, rysowano, fotografowano, pisarze mieli swoje ulubione instrumenty, przedmioty, drobiazgi — wszystko to jest eksponowane i ociepla atmosferę muzeum, czuliśmy się tam jak w domu. Stąd właśnie owa smutna refleksja — nie mamy jeszcze dotąd muzeum Tuwima, czy Reymonta, u nas w ogóle nie ma tego rodzaju muzeum. A przecie i Polacy nie gęsi...

W sumie nasi bakijscy koledzy nie zaproponowali nam specjalnie bogatego programu pobytu. Owszem, obiecywali, radzili się nie spieszyć, wiadomo, niecierpliwość to dziecko szatana, jak powiadają starzy Arabowie. Pojechaliliśmy do nowiutkiego miasta, Sumgait, aby się spotkać z robotnikami. Nie spieszyliśmy się jednak, jeździliśmy po mało ciekawych ulicach, nie się w Sumgait nie kończy zaskakująco, żadnych zakrętów, czy uroczych zakątków, człowiekowi zdaje się, że kursuje bez przerwy po tej samej ulicy, tak są one do siebie podobne. Nie spieszymy się, więc poszliśmy spokojnie, na obiad, a robotnicy spokojnie do domów. Spotkanie nie odbyło się.

Powiem szczerze, że już zaczęliśmy wierzyć w ową specyfikę Południa i Wschodu, jakąś powolność, gdyby nie mer Kirowobadu — pan Safar, przyjaciel Igora Sikiryckiego, a po dwóch

dniach również i mój. Mer przyjechał do nas i powiódł przez Kaukaz do swojego miasta. Wiatr ustał, to prawda, ale co jakiś czas pojawiały się mgły tak gęste, że trzeba było, jak to się mówi, prowadzić samochód za rękę. Wisząc nad przepaściami stwierdziliśmy nagle obydwoj, że mer Kirowobadu — to właściwie pierwszy Azerbejdżanin obdarzony temperamentem. I dysponuje wiedzą encyklopedyczną. Patrząc na miasta, wyglądające nocą jak niebo osiadłe na ziemi, śledząc konstelacje ulicznych świateł, słuchaliśmy jego informacji o Azerbejdżanie. Ta ziemia posiada wszystkie klimaty, prócz polarnego i pustynnego, w rozumieniu afrykańskim. Nafta, gaz ziemny, cyna, miedź, sól kamienna, marmur, gips, złoto i szlachetne kamienie — wszystkie te bogactwa kryją się w azerbejdżanckiej ziemi i skale.

Kirowobad to nie Baku. Ani tu wspaniałych gmachów, w starym czy nowoczesnym stylu, ani tak świetnych pozostałości po bogaczach. Warto natomiast przypomnieć, że w Baku zbil fortunę Nobel nim go ruszyło słońce i zaczął ją zwracać pisarzom i uczynom w postaci nagrody. Kirowobad jest skromny, ale przyjemny. Nie mieliśmy — szczerze mówiąc — zbyt wiele czasu na zwiedzanie miasta, gdyż mer solidnie dawał nam w skórze, aplikując często gesto najrozmaitsze wyprawy. Zwiedziliśmy najpierw grobowiec Nizamiiego, wybitnego pisarza, ojca poezji Azerbejdżanu. W naszej antologii zajmuje on, rzecz prosta, poczesne miejsce. Mauzoleum doprawdy piękne, monumentalne, w azerbejdżanckim stylu, tylko, że za blisko

co on dał palić BYŁO CUDOWNE, ale subtelne i trzeba umieć odczuć i się poznać, to było b. fajne, nie mogę o tym zapomnieć”.

„POMARAŃCZE są od Irka. Ciągłe się widzimy i prosil, żeby ci podesaic. Ale je oszczedzaj. To wlasciwie jest b. mocne i wykaacza”.

„Zrobilam sobie zastrzyk z LUSI i mialam zakazenie. Zdycham od antybiotykow — de-becyliny”.

„i byly jakies tańce i kotory lepsze jak po tri. Suwak chcial wyskoczyc z okna i tańczyli. Potem robilismy miłosc, a ja juz nie chcialam i musieli mnie gwalcic, krzyezalam, ale dali mi FERME i znowu bylo b. dobrze. FERMA jest lepsza od miłosci. Jest NAJLEPSZA i warto żyć”.

„Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? To było w domu wariatów... odwiedzałam swojego wujka — niegdys uczonego... nie zapomne nigdy tej atmosfery... duzo ludzi, pozornie roznych, a w rzeczywistosci, przynajmniej dla mnie, takich samych... wszyscy sie smiali, smialli ze wszystkiego, a tego, ze sa ludzmi, ze maja takie same ubrania z duzymi kieszeniami, z tego, ze kobiety maja inną budowę ciała niż mężczyźni (...). Wtedy z tej bandy wariatow wysunal się mężczyzna, trzymając oderwane kieszenie od swojego ubrania w rękę, wysoko, ponad nimi. Był poważny... zupełnie... twarz miał groźna i buntownicza, oczy zwrócone ku słońcu, szeroko otwarte, czarne, ogromne... Boże! Jak cudownie i prosto wyraził swój BUNT, Twoja ręka trzymająca te kieszenie, przemawiała do mnie bardzo wyraźnie i głęboko. Widziałam tylko cienie (...). Te kieszenie fosforyzowały, a ciemniejsze ślady po nich na twoim wyblakłym ubraniu nieubłaganie drażniły. Zamknęłam oczy, ale one przebiły moje powieki (...). Widziałam tylko bezkształtne usta i szepty (...). Dlaczego się nie śmiejesz? Wierzyłam, że przyjdzie taki dzień, kiedy wyciągniesz rękę po narkotyki i kiedy zaczniesz się śmiać. Dlaczego przestałeś się ŚMIĄC? Robisz mi ogromna przykrość... i nie odgarniaj katuży krwi, niech obejmuje moje włosy i ciało. Nie, nie mów. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie chce słyszeć, dlaczego dostates się do wariatow. Nie chce! Chce słyszeć, słyszeć twój śmiech (...). Śmieję się, błagam, śmieję się mój jedyny, śmieję się MANSO...”.

O co chodzi w tym ostatnim liście? Czy jest to przepisana z amerykańskiego pisma spowiedź jakiejś przeegzaltowanej nastolatki, czy też nasze, rodzime, łódzkie wyznanie wiary? Co to są wypunktowane niewyrobnym piśmem POMARAŃCZE, FERMA, LUSIA?

Wrzucam do miednicy z wodą wypó-życzny mi przez jedną z matek strzep czystego papieru, na którym, wykwiła po chwili napisany sympatycznym atramentem tekst. Mowa o jakichś dostawach. O tym, że już niedługo znowu będzie b. fajnie, tylko trzeba uważać na Belfogara. Podpisano: AFRYKA.

Biegne tą ścieżką i okazuje się, że Afryka, to czołowa kilkunastoletnia narkomanka z Warszawy. Jej rodzice, lekarze, wyjechali do Tanzanii, ale zostawi-

PIGULARZE



li nieopatrznie w domu plik recept, pieczątki lekarskie i duzo specyfikow. Afryka rozkrecila interes, zaopatrując rynek stoleczny i łódzki w to, co powoduje słodkie widzenia, a z czasem — zmiany degeneracyjne w systemie nerwowym. Kontakt z Łodzią nawiązała w warszawskiej bursie — Nazarecie, gdzie oddano również na krótką kwarantannę odwykową jedną z koleżanek Lupiny — Pestkę. Stało się to podczas niedzielnej mszy. Ksiądz mruzczał na ambonie, siostry mielily różaniec, nie mając zielonego pojęcia, że ich dwie rozanielone, kiwające się sennie wychowance, przeżywają akurat narkotyczny trans.

— Czym najczęściej młodzież łódzka się narkotyzuje — pytam lekarza, który też ma niemałe problemy ze swoim wyzwołonym jedynakiem. Odpowiada:

— Wszystkim. Każda piguła jest dobra. Trzeba chować przed nimi nawet maddoxin i asprocol. My, lekarze, śpiemy teraz, proszę pana, z woreczkami na

szczy. W tych woreczkach są recepty i pieczątki. Ale te środki ostrożności nie wystarczają. Oni mają jakieś inne dojścia, sposoby... Falszują recepty, produkują pieczątki, oszukują aptekarzy.

— A co to są POMARAŃCZE?

— Nie wiem.

— A LUSIA? Zastrzyk z LUSI?

— To chyba morfina. Byłem zaszokowany, kiedy ojciec kolegi mojego syna, człowiek całkowiec wykończony nerwowo, pokazał mi to, co znalazł w kieszeniach swojego chłopaka. Kilkanaście ampulek morfiny. Skąd to się wzięło? Z nieba? Pytał mnie, co robić, bo przecież w tym momencie zabawa zmieniła się w zbrodnię.

— Ile lat miał ten chłopak?

— Osiemnaście.

— Sprawa pachnie prokuratorem.

— Oczywiście.

— Zawiadomił milicję?

— To jest właśnie dramat. Zawiadomić czy poczekać... Z punktu prawa nie powinien mieć wątpliwości. Ale, z drugiej strony, niech mi pan pokaże ojca, który wsadził do więzienia własnego syna, skompromituje go w oczach kolegów-studentów, przetnie mu karierę życiową...

— Skąd on mógł wziąć morfina?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Objijając się wieczorami po ulicach, zaglądając do barów przy Piotrkowskiej, zaczepiając skołowanych, półprzutomnych szczeniaków o źrenicach rozszerzonych obłędem — prowadziłem śledztwo na własną rękę. TRI — sprzedawane niemal na receptę — wyszło już z użycia. Skleić się TRI i skochoć MAŁOLATA — to hasło przebrzmiałe, zapomniane, kursujące na prawach tandetnego dowcipu. Ale FERMA jest w cenie. „Za pięć POMARAŃCZY odstąpię każdemu swoją dziewczynę, a za łufę LUSI — matkę i ojca”. Tak powiedział długowłosy, obwieszony medalonami hippie w chwili narkotycznego głodu.

— Mój chłopak od trzech lat zażywa prochy i już zupełnie się wypalił — skarży się dziewiętnastoletnia dziewczyna. — Oni wszyscy się wypalili. Nie istnieje dla nich żadna miłość! Ani duchowa, ani cielesna. Mówią, że dla dziewczyny, żeby ją mieć, warto zrobić najwyższej dwieście metrów, a dla pigulek — dziesięć tysięcy.

— Z dziewczynami jest to samo — powiadają chłopcy. — Każda taka chce najpierw pigułę, a później jest jej wszystko jedno...

Rozmawiam konspiracyjnie w „Bezie” z byłym, wyleczonym już pigularzem:

— Pała? — pytam.

— Pała.

— Piją?

— Piją. Ale wie pan, to się odbywa inaczej, na zasadzie kompilacji. Najpierw zawsze są prochy — a dopiero potem, żeby było taniej, leci kontra z piwa, wina, czy wódki. Taka konterka wprowadza człowieka w trans, daje mu niebywale obroty, bo połączenie prochów z alkoholem wznaga toksycz-

ność i dużą wódkę można liczyć wtedy za pół litra. Ale nieraz, jak konterka jest za mocna, albo źle są dobrane proporcje — można wpaść w stan nieważkości, zasnąć, zemdleć, nawet umrzeć. Parę razy widziałem już umieranie. Najczęściej u dziewczyn, które zmieniają kolejność i najpierw pija, a dopiero później lykają FERME. W takich wypadkach jedynym ratunkiem są wymioty, biorąc pod uwagę, że pozostawia (lekarzy) boją się oni: jak ognia. Klany PIGULARZY robią sobie przrzeczenie, że gdyby nawet nie wiem co, ZAPASĆ, ŚMIERC, nie wezwą LEKARZA, bo wtedy może dojść do analizy KRWI lub TRESCI ŻOŁADKA i wówczas to i owo może się wydać...

— Na przykład: źródło, skąd czerpią LEKI?

— Tak.

— I morfina?

— Jasne.

— Wie pan coś na ten temat?

— Wszyscy to wiedzą. Dostawy idą nie tylko z Warszawy. AFRYKA, z którą było niedobrze, rodzice zabrali podobno do Tanzanii...

— Brał pan kiedyś taki zastrzyk?

— Nie. Ale raz widziałem, jak to się odbywa: nie wygotowana strzykawka, brudna, pogięta igła.

— Kto to był?

— Niech pan nie będzie śmieszny. Ja pana wcale nie znam. Ja pana nigdy w życiu nie widziałem. Ja nie zamieniłem z panem ani słowa o zadnych cholernych prochach i cholernej morfynie.

Poszedłem do PARKU ŚLEDZIA, ale zostałem błyskawicznie rozpoznany i prawie przegnany przez hazardystów, którzy z petami w ustach pochylają się nad szachowymi, kamiennymi stolami, szepcząc coś półgłosem, grając wysoko w pokera, chłusta, durnia i oko. Nie, tam trzeba jakiejś obcej twarzy. Tam trzeba większego cwaniaka, który pójdzie moim tropem i rozwiąże worek bezprawia.

Bo czas wreszcie z tym skończyć!

Czas spojrzeć prawdziwie w oczy: zabawa w piguły zatacza coraz szersze kręgi.

Już w kilku łódzkich szkołach ogłoszono stan alarmowy; po wypadkach szoku nerwowego, któremu ulegli na lekcjach uczniowie, rozsądni dyrektorzy i nauczyciele momentalnie sprowadzili lekarzy i psychologów, poddając swoich wychowanków badaniom. Oby równie szybka była reakcja wszystkich szkół, którym nieraz bardziej zależy na utrzymaniu tak zwanej dobrej opinii, niż na zdrowiu młodzieży, i wszystkich rodziców, którzy niejednokrotnie przynykają oczy albo bagatelizują niewinne na pozór igraszki swoich synów i córek.

Lupina wyleciała także z ogólniaka, a ostatnio przerwała naukę w liceum dla pracujących. Jest w stanie całkowitego załamania nerwowego.

Jedna z koleżanek Lupiny przebywa w Kochanówce na kuracji odwykowej. Też była przedtem bardzo zdolna, inteligentna, tak, jak wielu młodych ludzi, krążących wraz z nią po smutnych szpitalnych korytarzach.

Druga koleżanka Lupiny jest w klasie maturalnej.

— Co mam robić? — mówi jej matka.

— Za parę dni egzaminy, a ona jest w stanie, który z miejsca domaga się kuracji szpitalnej. Raz w sztok pijana, raz odurzona prozkami. Nigdy nie wiem, kiedy i jak wróci. Czasami znika na całe noce, i te oczy! Żeby pan zobaczył jej oczy! Mąż chce, żeby ją wsadziła w łakówkę i zawiązała do Kochanówki. Ale ona jest bardzo zdolna, nie ma żadnych dwójek i przy odrobinie opamiętania mogłaby śmiało zdać maturę. Więc jeszcze czekam. Zaklinam ją na wszystkie świętości. Może się jakoś przebudzi, zmądrzeje. Może zda...

Może umrze... LUSIA, FERMA, POMARAŃCZE... — najpierw idiotyczny snobizm, później katastrofa.

Uwaga — rodzice! Kontrolujcie swoje dzieci.

Nauczyciele! — Uwóżajcie na OCZY swoich wychowanków.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



dymiącej bez litości cementowni. Drzewa pokryte pyłem, już umierają i trzeba będzie chyba przzenieść albo mauzoleum, albo cementownie. Nie takich czynów ludzie dokonywali.

No, więc powiadam — pierwszy raz w życiu widzieliśmy tego rodzaju mera. Wsadza do samochodu i deklamuje wiersze. U nas taki mer zostałby najwyższej kierownikiem wydziału kultury, a j to nie jest pewne. Widzieliśmy niebywale oranżerie, pracujące na potrzeby wielu miast radzieckich, półmetrowe ogórki przedziwnej słodkości, olbrzymie pomidory, lany kwiatów przeznaczonych dla radzieckiej północy. Azerbejdżan w rękach Safarowa nabierał rumieńców, zyskiwał swój jedyny i niepowtarzalny wyraz. Oto fabryka dywanów. Rzecz nie tylko w tym, że jest bardzo nowoczesna, czystutka, wyprana, ale i w tym, że prezentuje urzekające bogactwo propozycji, zakomponowanych przez azerbejdżanskich artystów. Na pewno można tu znaleźć perskie wpływy, szachownie władali tą ziemią przez wieki, można jednak bez trudu stwierdzić również oryginalność.

Oto fabryka chleba. Nie specjalnego, mała, kurnik — tak też można powiedzieć. Tylko, że z tego pieca warto jeść chleb, niezapomniany chleb radzieckiego południa. Nie mogliśmy dowieść do kraju bochenka z napisem — Polska, przed nami była jeszcze długa droga, sięgająca ośmiu tysięcy kilometrów. Mówiliśmy jednak o chlebie, dobrym powszednim chlebie, robotnicy i kierownicy przy jednym śledzi stole i po prostu pytali — co u nas, czy spokojnie, informowali nas,

że podczas obrad Zjazdu w Moskwie także wysunięto na pierwszy plan — zaspokojenie codziennych potrzeb człowieka. Myślę, że to zbliżenie nad bochenkiem pachnącego chleba, miało głęboką, symboliczną wymowę.

Oto góry Kaukazu, ponure nocą, w mgłę, a w słońcu bardzo pogodnie. Mądrość ludzka i wytrwałość sprawiły, że w samym sercu Republiki, kilkanaście kilometrów w linii prostej od Kirowobadu, powstało morze Dżdźdź. Po obu jego stronach rozległe tereny pasterskie i łowieckie, zielony, majestatyczny Kaukaz, zdumiewający puszystością lasów i bogactwem zwierzyzny, kraina winnic bez końca i rozległych pól bawelny. O hodowli pszczoł i jesioteńców nie piszę ze względu na Igora Sikiryckiego, on wciąż wierzy, że taaakie ryby złowi w Polsce.

Czas nam szybko płynął w Kirowobadzie, musieliśmy jednak jechać dalej. Do granicy z Gruzją odwiózł nas mer Safarow i sekretarz popagandy i agitacji z Kirowobadu. Ostatni szaszлык i lyczek małuteńki koniaku ostatni. Do Tbilisi wpadliśmy wesoło, z humorem, właściwie tylko na kolację, gdyż następnego dnia rano mieliśmy lecieć do Moskwy. Nie poleciliśmy jednak, nasi gospodarze z Baku — zamówili nam, być może, miejsca w samolocie, pomylili w takim razie daty. Nie śpiesz się, niecierpliwość to dziecko szatana. Wylecieliśmy dzięki uprzejmości ministra, Ilii Tabaguly, wielkiego przyjaciela Polski i autora książki o naszym kraju.

WIESLAW JAŻDŻYŃSKI

BACHCZYSARAJ

Z cyklu: Zapiski krymskie

Bachczysaraj znaczy Pałac Ogrodów. Z Bachczysaraju została się przede wszystkim egzotycznie dla słowiańskiego ucha brzmiąca nazwa. Mit i legenda zwyciężają człowieka, prowadzą go na smyczy złudzenia szeroką doliną, której skrzydła rozległych gór szaro-białych wznoszą się ku łagodnemu niebu. Potem zakręć w południową stronę i nagle wjeżdża się w wąską uliczkę ciągnącą się głębokim jarem, a stąd już bliżej postrzępionych widnokęgów. Stare domki przycupnięte u stóp „dywanu Eblisa”, jednocześnie sprawiają wrażenie, że powstrzymują rozpadzone masywy skalne, przez wiatry i słońce odarte w wielkich polaciach (od strony Symferopola) z murawy, której płomy czy języki uparcie zmagają się z tym kamieniem przeciwnikiem. W miasteczku, ongiś błyszczącej świetnością perle Krymu, dziś w letnie południe przeszłość jest mocno przytłumiona to przez wielojęzyczny gwar turystów, to znów przez warkot samochodów. Stolica chanatu tatarskiego — nie zoczyłszy Tatarów. Potomkowie poddanych Mengli Gireja przed kilkudziesięciu laty stąd wywiezieni, nie wytrzymał srogiego klimatu Północy, nie wróciwszy już nigdy do macierzy.

Można powiedzieć, że ta szkatułka przeszłości po wsze czasy zamknięta jest na przyszłość, co nie oznacza, że nie można do niej sięgać i czerpać pomysłów do rzeczy, dzieł nowych. Ona nie ma już szans istnienia własnym bytem. To był wyłącznie dla innych, to przykład bytu poza sobą, poza własnym bytem. Nic więc dziwnego, że nawet przybywający z innego kręgu kulturowego łatwo nawiązują kontakt z tym „bytem poza sobą”, ale zewnętrzny, bo ma się do czynienia wyłącznie z mumią stolicy krymskich Tatarów. Nie sposób żyć w pełni życiem przeszłego Bachczysaraju. Dialog rzeczywistości mogą nawiązać ze sobą podmioty, będące zarazem dla siebie przedmiotami. Żywe z żywym, albo żywe z martwym, ale w jednej płaszczyźnie czasu.

Tak odarty, zdawać by się mogło, ze złudzeń, przechodzę przez mostek na rzeczce Czuruk Su (Zatęchła Woda — nie wiem, skąd się ta nazwa wzięła), a po prawdzie oczekujący rzeczy dla oka nadzwyczajnych i nie tylko dla oka, i nie tylko widoków, a po prostu całego świata orientalnej baśni, znanego mi dotychczas jedynie z literatury i historii, bo i ta ostatnia w odniesieniu do krajów Wschodu miała w mej wyobraźni więcej baśniowego kolorytu, aniżeli historycznych realiów. Strzeliste jak cyprysy wieżyczki minaretów meczetu chańskiego, okolone szufre, skąd muezynowie pięciokrotnie w ciągu dnia nawoływali „pobożnych dżamidów” do pokłonów wszechmocnemu Allahowi, podpierają namiot błękitu. Są jasne, koloru słonecznego, ugroni palonym nieco stężalego. Czerwone dachówki palacu i sąsiadujących budynków, podcienie, niezwykle ciepłe i radosne kolory tynków oraz dziedzińce pełen róż i wody, której szmer przeplata się z rozmowami przybyszów. Już przed wiekami Tatarzy opanowali sztukę budowania fontann. Cały Bachczysaraj obfitował w liczne wodotryski (ponad 100). Zresztą lokację swoją zawdzięcza w dużej mierze obecności wody. W upalne południe chłodzili swoje ciała chanowie w specjalnej altanie przy dziedzińcu pałacowym, gdzie po dziś dzień bije orzeźwiający chłód kropli wody. A upodobałi sobie to, co już w czasach średniowiecznych poeci perscy i arabscy (Hafiz, Saadi i in.) obierali za zasadniczy motyw swych utworów, mianowicie słowiki i róże, stwarzając miejsce najbardziej stosowne ku temu tajemniczemu dla człowieka, a jakże intymnemu romansowi słodko pachnącego kwiatu i równie słodko kłaskającego ptaka. Zresztą związana jest ze słowikiem i różą bogata symbolika mahometańska.

Nie lubię zwiedzać muzeów. Wydaje mi się, że są specjalnie wyrafinowanym barbarzyństwem, jakkolwiek słuszności ich istnienia nie podważam, gdyż są przecież miejscem ocalania pamiętek przeszłości. Zbyt nie nagromadzone eksponatów, z których każdy godny jest szczegółowej uwagi, męczy i zamiast przynosić zadowolenie, pozostawia jedynie zmęczenie i przesył. Oczywiście w pierwszym rzędzie z tego, co odnotowałem w pamięci, wymienię muszę dwie fontanny: pierwsza, zwana „Marmurową” we wspomnianej letniej altanie, druga, umieszczona w miejscu mało widocznym, w ścianie krużganku prowadzącego do ogrodu. Nosi ona nazwę „Fontanny Lez”, czyli w języku tatarskim „Gezjasz Czeszme”. Związana z nią jest niezwykle bogata legenda, jako że kropie wody z niej ciekające od dwóch stuleci mają symbolizować rozpacz chana Krym Gireja po utracie swej kochanki, którą miała być Maria Potocka, na co jednak żadnych dowodów historycznych nie posiadamy. Nie to jest istotne. Młoda przewodniczka, nie nadzwyczajnej urody, może nawet wręcz brzydka, opowiada historię panowania ostatnich lat Krym Gireja, ale opowiada tę uroczą i smutną przeszłość w taki sposób, jakby to było integralnym składnikiem jej życia wewnętrznego. Mówi pięknym, literackim językiem, od czasu do czasu wplatając cytaty z Puszkina i Mickiewicza, że nie dostrzegam wad jej urody, przemieniając się w słuch o sile prawie nadzwyczajnej, bo wywołującej żywe postaci osiemnastego stulecia. Zastanawia mnie nie tyle fabuła podania o nieszczyśliwej miłości chana i przedwczesnej śmierci jego kochanki, ile napis nad fontanną, który o

tym wcale nie wspomina, lecz wychwala czynny chański, które podobno wcale nie zyskały sympatii mieszkanców Krymu. Wręcz przeciwnie, Krym Girej znany był z okrucieństwa i bezwzględności stosunku wobec poddanych. Dopiero w późnym wieku przeprowadzenie w jasyr młodzieńczej dziewczyny z obcego kraju i jej delikatna uroda zmieniły całkowicie chańską mentalność. Miłość ta nie była odwzajemniona tym bardziej, że dziewczyna czuła się obco w tym zakątku Orientu i po dwóch latach zmiała. Czyżby utrwalenie w piśmie cierpienia chana miało uwiaczać jego dostojenstwu? Czy w świecie kultury orientalnej nie było miejsca na opis nie odwzajemnionego uczucia władcy do niewolnicy z kraju gaurów? Czy w ogóle to się nie liczyło jako fakt historyczny, a stanowić miało wyłącznie dzieło niepisane? Historia jest jednak nie mniej okrutna niż Krym Girej i nawet silniejsza, bo potrafi mówić niepiśnianym językiem po dzień dzisiejszy. Wystarczy tylko przejść na południową stronę dziedzińca pałacowego i dalej na emmentar.

To chyba najwyższy dialog kultury z naturą. Roślinność szczególnie tu zachłannie pracuje. Upał. Świerszcze dają południowy koncert na nieskończoną ilość smyczków. Ostre i liczne języki traw wdzierają się na białe, a właściwie już mocno poszarzałe skrzynie marmurowe. Ornamenty o motywach roślinnych wykute ręką człowieka przepiękają się z ży-

wymi roślinami, a przecież pod tą darnią leżą ludzie, ich szczątki, a dzieło ich na zewnątrz. Świat natury jest tu silniejszy od człowieka. Posiada swój żywy, własny język, gdy tamten mówi do nas martwą mową. Groby piękności narewowych zwieczono są mniejszymi niż męskie zawojami, na których szczycie są wgłębienia na wodę deszczową. To ptaki spragnione jej zlatują się tu, by potem mogły w imieniu zmartwych kobiet ponieść modlitwy do Allacha. Tylko mężczyźni mieli ten przywilej, że mogli bezpośrednio zwracać się do Wszechmocnego. Natomiast w wierzeniach mahometańskich Tatarów stawiano znak równości między kobietą a światem natury, w tym wypadku ptakiem, jako koniecznym łącznikiem. Nie możemy wszakże przeprowadzać porównań między cywilizacją grecko-lacińską a mahometańską i wskazywać jedynie na wyższość tej pierwszej. Ta druga, poodejrzawiona, była bardziej wyrażana i przez to zakłamaną. Etyka krymskich Tatarów ponoć „surowo” podchodziła do przyjemności biologicznych człowieka. Chan mógł posiadać „najwyższą” cztery żony. Sam fakt istnienia haremu i w życiu codziennym przywiązywania dużej roli do cielesnych rozkoszy nie miał prawie miejsca w sztuce. Przecież Hafiz z Szyrazu posądzano o bezbożność, za to, że opiewając zbyt często wdzięki niewieście ubliżał tym samym Allahowi. A weźmy teraz miniatury, czy w ogóle sztukę islamu,

w której wykluczało się rzeźbę przedstawiającą akty lub w malarstwie perspektywę i światłocień, nadające ciału ludzkiemu wymiar zmysłowości. Sztuka taka była traktowana jako ornament życia, a nie jako integralna jego część i przez to często jemu przeczyła. Miejscem najlepszym na snucie refleksji jest przeciwnie do „dywanu Eblisa” stok wzgórze, porośnięty ogrodami owocowymi. U stóp, w ciasnej dolinie gnieździ się Bachczysaraj. Świećność — dzięki konserwatorom. Naprzeciwko nas potężne ropy skalne o niesamowitych wgłębieniach, które przypominają czaracie oczy. Ściśnięte poczwarne kształty, zwarte w sobie, czynią wrażenie, jakby czoły na duszę Bachczysaraju, bo gdzie tam w dole już

Skróś okien różnobarwnych powoju roślinna, Wdzierając się na głuhe ściany i sklepienia, Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia I pisze Baltazara głoskami „RUINA”

Skróś okien różnobarwnych powoju roślinna, Wdzierając się na głuhe ściany i sklepienia, Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia I pisze Baltazara głoskami „RUINA”



ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

WĄSKA ALEJA

I

Idziemy wąską aleją, pomiędzy dużymi, zielonymi drzewami. Słońce grzeje, czarne, wizyowe garnitury przynajmniej nas rozżarzone ciężarem, również czarne, błyszczące lakiery są dla naszych stóp niewola, od której, przynajmniej ja wiem o tym doskonale, szykuje się kilka bolesnych odparzeń. Ale idziemy. Waldek ociera już mokrą chusteczką pot z twarzy. Waldek jest otyły i sapie głośniejsz niż my trzej, to znaczy Marian, Wojtek i ja. Marian i Wojtek to bliźniaki. Zastanawiam się kiedy wreszcie nasz stary nie będzie mógł ich odróżnić... O rany, w tej chwili sam nie wiem, który z nich jest Wojtkiem, a który Marianem. To wina upału, który cholernie mnie dusi. Idziemy do pana ministra, by odbyć z nim piekielnie ważną konferencję. Waldek jest dyplomatą niemieckim, Marian i Wojtek są przedstawicielami USA, a ja francuskim ambasadorem, ponieważ w szkole uczyłem się francuskiego i pamiętam, drugą czy trzecią deklinację?... dokładnie już nie wiem.

Kiedy szliśmy do starego ostatnim razem, padał deszcz. Nie, nie szliśmy, a biegliśmy, bo każdy z nas był wtedy sportowcem i ścigając się, bardzo szybko przemierzaliśmy wąską aleję. Oczywiście ostatnim był Waldek, a Marian i Wojtek, bliźniaki, wygrali jednocześnie. Sportowe kuszki i majteczki, przylegały do naszych ciał mokro i nie było to zbyt przyjemne. Szkoda, że dzisiaj nie pada deszcz. I szkoda, że skończyła się olimpiada w Meksyku i stary już nie marzy o naszej sportowej sławie.

Wąska aleja nareszcie się kończy. Przed nami wielki, biały mur i opodal czarna plama żelaznej bramy, obok której wchodzi się do portierni. Przystajemy na chwilę. Poprawiam krawat Waldkowi, który patrzy na mnie nie widzącym wzrokiem, niemal nieprzytomnie. Portiernia i znajomy portier. Mówimy mu dzień dobry, otwieram masywne drzwi i już jesteśmy na terenie. Idziemy teraz obok słynnym korytarzem, po bokach którego suną, prawie kilometr w głąb jego długości, białe pawilony. Nad nami sufit z prażącego słońca.

Waldek potyka się i znajduje oparcie na mojej pierś. Pomagam mu. Odzyskuje równowagę i mówi półgłosem — Przecież ja nigdy nie byłem ministrem. — Nie martw się — pocieszam go — my też jesteśmy stremowani.

— Stary! — oznajmia nam Wojtek. Stary oczekuje nas z przepiękionymi nad brzuchem rękami, z miną tak ważną, że dopiero teraz zdejemy sobie sprawę z ważności czekającej nas konferencji.

Podchodzimy do niego i następuje bardzo dostojne powitanie, po którym zostajemy zaproszeni do gabinetu obrad. Wchodzimy do białej jak śnieg sali, gdzie stoi kilka żelaznych łóżek, z których każde nakryte jest białym prześcieradłem.

— Panowie — zwraca się do nas minister — mam nadzieję, iż jesteście przygotowani do odbycia tej ogromnie ważnej konferencji, od której zależą losy naszych narodów. Na wstępie poczęstujcie się, proszę, koniakiem.

Chwytam za kieliszki. Potwornie chce nam się pić. Stary wznosi toast za pomyślność naszej konferencji i wypijamy nareszcie koniak, co do którego okazuje się, że

były nim walerianowe krople. Krztusimy się. Najmocniej Waldek. Jest teraz dyplomatą z posmarkanym nosem, więc zwracam się do niego po francusku, druga lub trzecia deklinacja, by sobie ten posmarkany nos wytarł w chusteczkę. Na szczęście minister nie zwraca na to uwagi, bo zresztą nie wypada mu nawet i zaczyna wyniosłym tonem swoją przemowę. Ja notuję, Waldek nadal się krztusi, ale jak może najciszej, Marian i Wojtek wciąż przytakuja ministrowi, obaj jednakowo, poddańczo. Po godzinie następuje dyskusja. Waldek wciąż chce zabrać głos, ale jak tylko znajduje lukę pomiędzy naszymi głosami, krztusi się i to odbiera mu mowę. To dobrze, bo robił wrażenie, jakby chciał wypowiedzieć wojnę naszym narodom. Osobiście proponuję podpisanie układu w celach pokojowych. Marian i Wojtek wnoszą propozycję zniesienia granic i granicznych kontroli. Stary oznajmia wreszcie, że na dzisiaj już dosyć, i że układ podpiszemy następnym razem. Prosi nas jeszcze, byśmy do tego celu przynieśli jakąś kartkę. — A teraz — mówi — powiedz mile dowcip i wy się śmiejcie. Śmiejemy się, Waldek daje upust krztuszeniu się i krztusi się aż do leż. Stary nas żegna i wychodzi. Dopiero na wąskiej alei uświadomiamy sobie, że niepotrzebnie dyskutujemy nadal o sprawach poruszonych w gabinecie ministra. Nikt z nas jednak nie mówi, że stary i my nie jesteśmy wcale ministrami.

II

Tydzień mam bardzo męczący. I delegację, z której wracam przed północą, w sobotę. Więc w niedzielę rano, kiedy przychodzi do mnie bracia, jestem wyczerpany i niesłuchanie śpiący, ale muszę wstać. Zresztą ciekaw jestem co uchwalimy i podpiszemy w układzie.

Znowu wąska aleja pomiędzy dużymi, zielonymi drzewami. Dzień nie jest słoneczny, ale jest ciepło. Wieje orzeźwiający wietrzyk. Idąc układamy sobie plan zaskoczenia starego naszymi wnioskami. Następuje nawet chwila kłótnia, którą przerywa Waldek.

— Taki spacer to przyjemność — mówi i w dalszym ciągu swego zdania, wyraża radość, że zachorował jego kierowca. Chciałem zapytać go, odkąd to taki jak on, niedzwar, jest właścicielem samochodu, ale przypominam sobie, że przecież jest dyplomatą, i że ja też mam kierowcę do służbowego mercedesa.

Koniec wąskiej alei, wielki biały mur, żelazna brama, portiernia, portierowi ukłony, kilometrowy korytarz i stary, przed którym stajemy i mówimy chórem — Witamy pana ministra!

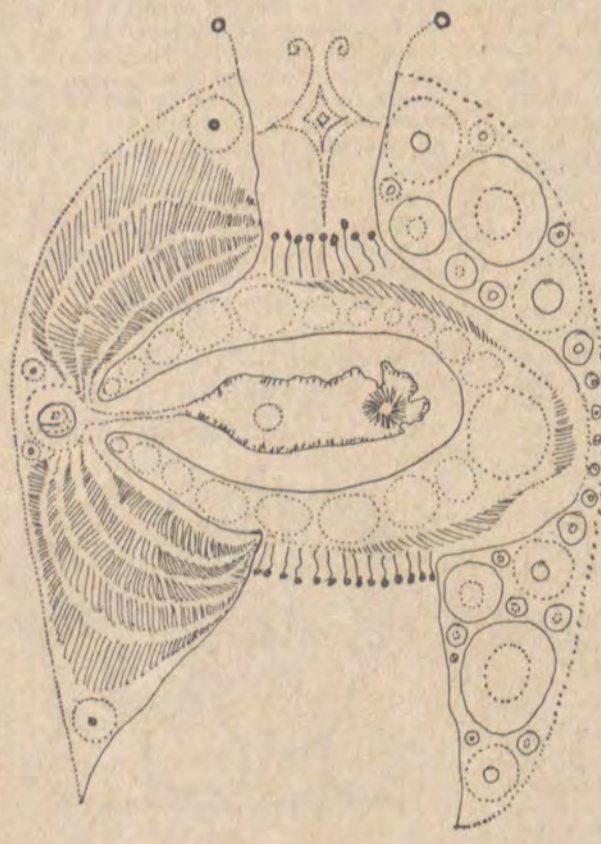
— Ministra? — pyta stary — Ja nie jestem żadnym ministrem. Jestem treserem psów cyrkowych.

Waldek aż jęknął, tak oniemial. A stary podchodzi do mnie, chwyta mnie za nos jedną ręką, drugą ręką za brodę i rozdziawia mi paszczę.

— Czarno w pysku — mówi. — Zły. To dobrze. Zostawia mnie i to samo robi z Marianem, Wojtkiem i Waldkiem. Potem następuje tresura. W rękę starego świszcze bat, a my wykonujemy każdy jego rozkaz. — Siad! Leżeć! Siad! Leżeć! Siad!... Uwaga pieski, skok przez przeszkodę! — Hoppa! Dobrze! Hoppa! Świetnie! Hoppa! Wspaniale! Hoppa! Złe, niedobrze, tak może skakać tylko parszywy kundel! — I otyły Waldek dostał porządnie w skórę, aż zapiszczal. Biegamy, skaczemy, siadamy, kładziemy się na komendę leżeć i Waldek ciągle dostaje batem.

Wreszcie stary znika. Wychodzimy z portierni i kładziemy się pod dużym, białym murem. Odpoczywamy. Waldek sapie i płacze. Potem wchodzimy w wąską aleję na czworakach. Marian znajduje kość i Wojtek napada na niego z głośnym szczękiem. Wywiązuje się walka, do której i ja się włączam. Szamocemy się, gryziemy, mój warkot jest najbardziej podobny do warkotu psa. A biedny Waldek, poczwara, siedzi i sędziuje nam dyszkantem, na który nie ma sił. Słychać tylko cieniutkie: Ha!... Ha! ha! ha!...

ZAKOŃCZENIE
STARY UMARŁ JAKO MINISTER FINANSÓW...



Rys. L. Woźnicki

„Czas odnaleziony”

Mieczysława M. Szargana

SWIERSZCZE stanowią debiut prozatorski Mieczysława Michała Szargana, autora wydanych dotychczas zbiorów wierszy: BRZEG BARWY (1961), JE-SIEN Z JUDASZEM (1966), STOŁ (1970). Jak to często się zdarza u poetów zwracających się ku prozie, opowiadania Szargana mają wiele wspólnego z jego poezją, na wzajemnie przenikanie się poezji i prozy autora SWIERSZCZY zwraca uwagę wydawca, w krótkim, lecz jakże celnym mikroeseju, pomieszczonym na skrzydełku obwoluty. Cytuję fragment: „Proza Szargana ma wiele cech wspólnych z jego poezją. Ta sama w niej dosadność wyrazu, to samo upodobanie do ujawniania brzydoty w zjawiskach życia, ten sam stosunek do człowieka, obnażający jego słabość, ulomność, upośledzenie, i jednocześnie ciepłe spojrzenie życzliwości, wyrozumiałości przychylności, doszukujące się w odrzucających nawet objawach wegetacji ludzkiej znamion „człowieczeństwa”. Istotnie, Szargan w dążeniu do ukazania człowieka pełnego stara się nie zaniedbać żadnego szczegółu, zdawałoby się przypadkowego zjawiska, ledwo zauważalnego faktu. Szczegół dla drobniaka, pasja ujęcia życia w jego najdrobniejszych przejawach jest podstawową kategorią artystyczną jego pisarstwa. Właśnie owo nagromadzenie faktów egzystencjalnych, zderzenie ich w sytuacjach zdających się przeczyć sobie

nawzajem, lecz wyczerpujących z punktu widzenia informacyjnego wszystko, czego możemy się o istocie dowiedzieć, sprawia wrażenie pełni. Przy czym nie chodzi tu o systematyzowanie istnienia, lecz raczej o ukazanie jego symultanicznego charakteru.

Pracowicie gromadząc, starając się przy tym nie pominać jest Szargan w swoich opowiadaniach poeta uroków i drobnych radości życia. Zbieżność z tak zwanym „małym realizmem” jest tu czysto zewnętrzna, gdyż autorowi chodzi o ukazanie życia w innym wymiarze, innej perspektywie. Przykładem odrzucenia klasycznych metod opisu prozy realistycznej. Aby określić bliżej tę nową optykę, wystarczy odwołać się do tych przeobrażeń w estetyce naszego wieku, które sankcjonują w sztuce zniszczenie związków czasu, będących wymiarem akcji, i przestrzeni, stanowiących wymiar kontaktu. Takie zabiegi, rzecz jasna, prowadzi do rozprężenia i chaosu w rzeczywistości fizycznej, natomiast stanowią manifestację naturalnego porządku w umyśle, gdzie przeszłe doświadczenia (VIDE opowiadanie tytułowe) trwają jako ślady pamięci i nie ma prostego następstwa czasowego ani związków przestrzennych; są jedynie powiązania i skojarzenia oparte na prawach ruchu dialektycznego. Mamy tu odmienny, ale niemniej prawdziwy ład,

ład umysłu, stanowiący nową rzeczywistość, w której zacierają się różnice pomiędzy tym, co postrzegane jest obecnie, a tym, co zapamiętane z przeszłości. Nowa jedność jaka Szargan osiąga, jest jednością wszystkich doznań, niezależną od fizycznego porządku rzeczy. W płaszczyźnie czasu psychologicznego, „czasu odnalezionego”, jest miejsce na ujęcie wszystkich tych faktów, które składają się na przypadkowość i niepowtarzalność istnienia. Jak każda ambitna próba dotarcia do pozaliterackich źródeł egzystencji, proza SWIERSZCZY nasycona jest konkretem ludzkim.

Bez wątpliwości zmysłowości i soczystości języka jest poetyckiej prowności, struktura stylizacyjno-językowa w głównej mierze wydobywa głębię z materii prozatorskiej, głębię immanentną. Ma to swoje strony dobre i złe. Dobre — jako szansa dotarcia do tych sfer życia, które umykają poznaniu racjonalizowanemu, ujmowaniu analitycznemu, złe — jako możliwość istotnego ograniczenia czy nawet zagrożenia poznawczo-różnicującej funkcji jego prozy. Pozostawiając sprawę otwartą, niech wolno mi będzie sformułować pewną uwagę, odnoszącą się nie tyle do SWIERSZCZY, ile do przyszłych realizacji tego utalentowanego pisarza, mianowicie: zmierzając w kierunku ukazania życia w nurcie ogólniejszych idei i przeobrażeń, Szargan winien obdarzać większym zaufaniem schematy myślowe porządkujące doświadczenia ludzkie, które nie mają nic wspólnego z dziewiętnastowiecznym scjentyzmem. Piękna i przejmująca opowieść o tworzeniu, istota którego jest pogonią za niedosięgniętym wzorem (opowiadanie KOWAL JOZEF) koresponduje przecież z wyobrażeniami współczesnych antropologii, które nawet w założeniach nie dopuszczają możliwości istnienia świata bez aktywnego w nim udziału człowieka.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN: SWIERSZCZE. Łódź 1970. Wydawnictwo Łódzkie.

Frzeszłość i terażniejszość

O tym, że naukę historyczną uprawia się na najróżniejsze sposoby wiadomo wszystkim od dawna. Każdy z nas ma też swój ulubiony rodzaj historii. Co do mnie, nie cierpię jej najpopularniejszej odmiany, mianowicie historii powierzonej opisywacielce, anegdotyczno-fakciarskiej, jakże często pokrywającej brak poważniejszej refleksji i analizy relacjonowaniem tak zwanych „ciekawych zdarzeń”, słowem też właśnie, którą wielu uważa za jedynie interesującą. Nie cierpię też paru arcypopularnych w naszym współczesnym dziejopisarstwie różnych wersji tak uprawianej historii i rad jestem, że nadarza się właśnie okazja, aby o jednej z nich podyskutować. Dala mi ją książka Juliana Komara o bardzo obiecującym tytule: „Warszawskie manifestacje patriotyczne 1860—1861”, wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w serii „Varsavia”.

Czym jest ta książka? Jest ona wielce unikalnym, krytycznym, opartym o szeroką bazę źródłową kronikarskim zestawieniem przebiegu manifestacji religijno-patriotycznych w Warszawie w okresie poprzedzającym Powstanie Styczniowe, dokładniej od 1859 do końca 1861 roku. Autor referuje interesujące go wydarzenia nie tylko dzień po dniu, lecz nieraz godzina po godzinie. Zasada chronologii triumfuje na kartach książki w całej pełni, wiadomości następują jedna po drugiej niezależnie od ich wagi, niezależnie od tego, czy wymagaliby szerzego rozważenia, czy nie. Pierwszy rozdział kończy się na dniu 24 lutego 1861, drugi obejmuje okres od 25 do 27 tego miesiąca i tak dalej, aż do połowy października. Ostatnie pół strony tekstu — jeśli nie liczyć indeksu i spisu rzeczy — zajmuje podsumowanie. Jest ono niezmiernie charakterystyczne, więc pozwolę je sobie przytoczyć w całości:

„W opisanych wyżej manifestacjach lat 1860—1861 można wyróżnić trzy główne etapy:

I etap stanowi rok 1860, kiedy grupki czerwonych starają się przez manifestacje ograniczonych rozmiarów poruszyć społeczeństwo, budząc w nim uczucia patriotyczne. II etap mniej więcej od lutego do schyłku lata 1861 r. to okres, w którym ruch przybrał na sile i ogarnął masę. Kierunek ru-

O STYLU
UPRAWIANIA
HISTORII

chu stara się przejąć w swe ręce obóz „umiarkowanych”, traktując manifestacje jako przeciwwagę dla grożącego powstania. W III końcowym etapie, rozwój manifestacji zaczyna już niepokoić „umiarkowanych”, którzy usiłują go pohamować. Teraz ponownie czerwoni podejmują kierownictwo manifestacji, starając się wykorzystać je dla organizowania akcji konspiracyjnej, mającej na celu przygotowanie zbrojnego powstania.

Wprawdzie na skutek opisanych manifestacji kilkadziesiąt osób zostało zabitych i rannych — wywarły one doniosły wpływ na bliższą i dalszą przyszłość narodu polskiego”.

Uderza nikłość wniosków, do jakich doszedł autor. Jeżeli zważymy zaś, że sprawa stanowisk poszczególnych grup politycznych do akcji manifestacyjnej znana już była ułame nieźle z doświadczeń podległych i opracowań, okaże się, że wkład autora, mimo całego wysiłku, ograniczył się tylko do... szerszego uzasadnie-

nia twierdzeń przez nikogo nie kwestionowanych. Ale przytoczone podsumowanie świadczy jeszcze o czymś innym. Jaki był kształt owego społeczeństwa, które „poruszał” czerwoni, jaką była jego mentalność, skoro trzeba było w nim „budzić” uczucia patriotyczne; czyżby ich w ogóle dotąd nie było? Sformułowanie, że „ruch przybiera na sile i ogarnia „masę” jest nie nie znaczącym sloganem — historyk winien odpowiedzieć na pytanie: jakie były „masę”, jaka była ich struktura i dynamika. Wreszcie uogólnienie najwyższego stopnia, stwierdzenie i to, że manifestacje wywarły „doniosły wpływ” na bliższą i dalszą przyszłość. Wiadomo o tym dobrze od z górą stu lat — zadaniem historyka jest określić, jaki był ten wpływ, gdzie, w czym się przejawiał, w jakich kręgach społecznych...

Nowoczesne uprawianie historii ruchów społecznych jest — okazuje się to po raz nie wiadomo już który — niemożliwe w oparciu o anachroniczny dziś model historii „opowiadającej”. Tam gdzie nauka historyczna wkracza w badanie szerokiego zjawiska społecznych, procesów i zjawisk masowych, nie może zignorować aparatu pojęciowego i dorobku nauk jej bliskich — współczesnej socjologii i psychologii społecznej. Jeżeli pozostanie przy swym wąskim tradycyjnym warsztacie, przy kolekcyjonowaniu faktów skrzętnie wydobywanych z rękopiśmiennych i drukowanych źródeł, nie potrafi wyjaśnić opisywanych zjawisk i procesów społecznych.

Książka o manifestacjach warszawskich lat 1860—1861 niczego nie wyjaśnia, autor tylko relacjonuje... W ten sposób ważki problem nadal pozostaje otwarty, mimo nagromadzenia znacznego materiału informacyjnego.

Z przykrością należy stwierdzić, że książka Komara jest jaskrawym przykładem konserwatywnego metodologicznego, nieradkiego — jak się okazuje — w naszej współczesnej historiografii.

JÓZEF GRZELAK

JERZY WILMAŃSKI

DWUDZIESTOLETEK
W TÓDZE
NAUKOWCA

Nie tak znów często zdarza się, aby instytucja otrzymywała Honorową Odznakę m. Łodzi i Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego — równocześnie. Nieprzypadkiem obie te odznaki otrzymał przed paroma dniami Łódzki Oddział Państwowego Wydawnictwa Naukowego, obchodzący swoje dwudziestolecie. Znaczenie tej naukowej firmy wydawniczej dla Łodzi jest oczywiste. Jej obecność i żywa działalność dokumentuje również fakt powstania w Łodzi przed 25 laty ośrodka myśli naukowej z zapleczem uczelnim i instytucyjnym. Tak więc z jednej strony Oddział PWN podnosi rangę miasta jako centrum nauki — z drugiej zaś strony jest wynikiem rosnącej roli łódzkiego środowiska naukowego.

Spojrzeń trzeba jednak na działalność łódzkiego Oddziału także i pod innym kątem — trzeba także widzieć dokonania tej placówki naukowo-wydawniczej na tle całokształtu działania PWN. Otóż łódzka oficyna daje rocznie około 25 proc. całej produkcji Wydawnictwa, mającego przecież, oprócz warszawskiej centrali, jeszcze kilka innych oddziałów. Łódzki Oddział PWN w ostatnich latach wydawał przeciętnie 400 publikacji rocznie — z prostego rachunku wynika więc, że z niewielkich pokoiów przy al. Kościuszki 85 wędrowała do księgarń codziennie nowa książka.

Książka potrzebna, lecz jakże skomplikowana w swym procesie twórczym — od narodzin w bibliotece uczonoj do narodzin na maszynach drukarskich. W tym pierwszym wypadku istnieje baza naukowa w postaci środowiska — w tym drugim Oddział PWN wciąż boryka się z trudnościami poligrafii nie przystosowanej do realizacji trudnych tekstów naukowych. Szluszny jest więc postulat budowy drukarni naukowej i doraznie — rozbudowa i unowocześnienie Zakładu Graficznego PWN. Myślę, że także przy okazji jubileuszu warto jeszcze raz podnieść słuszność i celowość tych postulatów Oddziału PWN w Łodzi.

Książka rodzi się w trudzie i żyje długie lata. Książka naukowa, nawet jeśli jest wynikiem doraźnych badań weryfikowanych potem przemysłem, pozostaje właściwie na zawsze, bowiem pozostaje jako naukowy dokument czasu. Takiej książce zatem należy zapewnić poligraficzne zaplecze, gwarantujące odpowiedni standard wykonania. I o te sprawy konsekwentnie walczą kierownictwo Oddziału PWN, podnosząc je także w dniach odświętnych — w dniach jubileuszu dwudziestolecia.

Oczywiście nie sposób prezentować w tym miejscu choćby tylko części z owych setek publikacji Oddziału PWN. Ale warto odnotować, że to właśnie łódzka oficyna naukowo-wydawnicza zrealizowała w minionym roku monografię „Łódź. Rozwój miasta w Polsce Ludowej” i „Łódzkie. Rozwój województwa w Polsce Ludowej”. Już tylko te dwie pozycje predestynowały wydawców do obu Honorowych Odznak. Ale przecież PWN wydaje „Rocznik Łódzki”, „Łódzkie studia etnograficzne”, publikacje Łódzkiego Towarzystwa Naukowego oraz oddziałów Polskiego Towarzystwa Historycznego i Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego.

A pozycje o szerszym zasięgu? Dyr. Jerzy Górczak odpowiada: „Wydaliśmy fotooffsetową serię „Antiquitates Musicae in Polonia” — na eksport oczywiście, wydaliśmy bardzo szybko jak na nasze warunki, bo w ciągu czterech miesięcy „Filozofię marksistowską”, dalej „Elementarne pojęcia socjologii” prof. Jana Szczepańskiego, cenną i głośną już „Kulturę języka polskiego” czy A. Podgóreckiego „Zarys socjologii prawa”.

Będzie tych książek coraz więcej — zarówno tych o znaczeniu lokalnym, jak i pozycji, których rola i waga przekraczają granice regionu. Następne dwudziestolecie rozpoczyna Oddział PWN już w lepszych warunkach lokalowych, choć jeszcze z nie najlepszą bazą poligraficzną. Ale i na to przyjdzie czas.

Na koniec słowo o ludziach, o tych, którzy zapisali w kronice Oddziału PWN w Łodzi swój udział, pracę i zaangażowanie. Nieżyjący już Andrzej Krzyżanowski, następnie Eugeniusz Dzundza, Zygmunt Kubiński, Maria Borowska, Tadeusz Budzicki. A zespół? Dyr. Jerzy Górczak mówi: „Zespół cechuje dobre opanowanie zawodu, duże poczucie odpowiedzialności, umiłowanie pracy, w wyniku której powstaje książka”.

Dodajmy — książka potrzebna, kształtująca postawę Polaka lat siedemdziesiątych, książka ideowa, godna socjalistycznej nauki. W jubileuszowej gazecie Oddziału PWN w Łodzi czytamy: „w takich momentach biegniemy myślami do szczególnie bliskich nam towarzyszy wspólnego trudu — czelidogodnych Autorów, cierpliwych Drukarzy i zapobiegliwych Księgarzy, z którymi łączące nas więzy zawodowe nieradko przerodziły się w autentyczną przyjaźń. Oby nasz wspólny trud wydał jeszcze obfitsze plony w postaci cennych, dobrze wydanych i trafiających do czytelnika — dzieł naukowych”.

Łódzki Oddział PWN — dwudziestolatek w tódze naukowca, dobrze wypełniał swoje zadanie w ciągu minionych lat. Ambitne zamierzenia na lata następne są więc logiczną konsekwencją w działalności łódzkiej oficyny naukowo-wydawniczej.

PUCCINI PO AMERY- KAŃSKU



Halina Romanowska — Minnie, i Jerzy Jadczyk — Jack Rance, szeryf. Fot. J. Neugebauer

„CYGANERIA”, „TOSCA”, „MADAME BUTTERFLY” — TO POZYCJE, NAJBARDZIEJ REPREZENTATYWNE DLA TWÓRCZOŚCI KOMPOZYTORSKIEJ GIACOMO PUCCINIEGO. POZYCJE KTÓRE UTRWAŁY SIĘ W ŚWIATOWYM REPERTUARZE OPEROWYM. WŚRÓD BOGATEJ I CIĄGLE JEDNAKOWO POPULARNEJ TWÓRCZOŚCI PUCCINIEGO „DZIEWCZYNA Z ZACHODU” JEST POZYCJĄ PRAWIE WCALE NIE ZNANĄ. W POLSCE WYSTAWIANA BYŁA RAZ JEDEN W WARSZAWIE, W 1911 ROKU, W ROK PO PREMIERZE NOWOJORSKIEJ.

Przebywając w 1906 r. w Nowym Jorku z okazji przygotowywania „Manon Lescaut” przez Metropolitan Opera House, Puccini zapragnął napisać operę specjalnie dla tej sceny. Zafrapowany odmiennością kultury, egzotyką pieśni indiańskich, sięgnął po temat do sztuki Dawida Balasa „Dziewczyna ze Złotego Zachodu”, granej wówczas na scenie nowojorskiej. I w ten sposób powstał operowy western, opowiadający o losach grupy poszukiwaczy złota w kalifornijskiej osadzie. Swoją wolną czas spędzają w barze, którego właścicielką jest piękna Minnie. Kochają się w niej wszyscy z miejscowym szeryfem na czele, ona jednak oddaje serce poszukiwanemu przez policję bandycie, a jej miłość ratuje życie (nawróconemu oczywiście) przestępcy.

Dzieło to odbiega więc istotnie od poprzednich dzieł kompozytora i pod względem treści i muzyki. Muzyka „Dziewczyny z Zachodu” sięga z jednej strony do motywów

melodyki amerykańskiej, do rytmiki jazzowej, z drugiej do współczesnych Pucciniemu zdobyczy impresjonizmu francuskiego. Formalnie opera zbliża się ku dramatowi muzycznemu, brak w niej sensu stricto arii, na plan pierwszy wysuwają się sceny ensemble choralne, recitatywowe dialogi. Rośnie rola orkiestry, bogato instrumentowana symfonia jest podporządkowana akcji, uczestniczy w niej, komentuje.

Mimo kobiecego tytułu, „Dziewczyna z Zachodu” jest operą typowo męską — w sensie dosłownym i przenośnym. Ma jedną kobiecą rolę, nie licząc epizodycznego występu Indianki — Wovkle. A więc wszystko jest inaczej niż w poprzednich operach Pucciniego, gdzie skrzywdzone i cierpiące bohaterki umierają z miłości albo na gruźlicę. A jednak... Energiczna właścicielka przedsiębiorstwa sprzedającego alkohol, nosząca pistolet u boku, Minnie, jest przecież niewinna i szlachetna jak anioł. To w gruncie rzeczy bardzo bliska krewna Toski, Mimì czy Butterfly. Tak samo jak szeryf Rance jest bliskim krewnym Scarpii. Mimo wszystko Puccini nie umiał się wyzwolić z obsesji szlachetnej nieszcześliwej dziewczyny i okrutnego przedstawiciela władzy.

Prapremiera „Dziewczyny z Zachodu” spotkała się w 1910 roku z entuzjastycznym przyjęciem. Po premierze nowojorskiej przyszły natchmiast premiery w innych miastach Ameryki i Europy (także w Warszawie). Sukces był ogromny i... nietrwały. „Dziewczyna” zniknęła ze scen operowych na kilka dziesiątków lat, by ostatnio wrócić na nie znów. Czy będzie to renesans?

Nie chcę być złym prorokiem. Ale nie da się zmienić faktu, że przez te lata obejrzelśmy dziesiątki filmów westernowych, w tym również muzycznych, których bohaterkami są także dziewczyny nadzwyczaj dzielne, wokół palca owijające sobie przeróżnych zbiorów i rozbudzające w nich szlachetne uczucia ukryte pod skorupą okrucieństwa — w wyniku trudnego dzieciństwa. Pomijając oczywiście wartości muzyczne tych filmów, nie stojące w żadnym stosunku do muzyki Pucciniego, jest wobec nich „Dziewczyna z Zachodu” westernem w cudzysłowie i tak ją zapewne realizatorzy traktują. Ale widz, patrząc na wnętrze „saloonu”, słuchając strzelaniny w wykonaniu opiewających poszukiwaczy złota, mimowolnie chciałby przyspieszyć tempo akcji. A tempa przyspieszyć się nie da, bo jest podporządkowane muzyce. Tak samo jak dialog, jak wszystko co się dzieje na scenie.

Nasz Teatr Wielki, ustawiając swój repertuar nie idzie po linii najmniejszego oporu. Nie obawia się wystawiania prapremier polskich, nie obawia się sięgania po pozycje zapomniane. Czasem przynosi to efekty znakomite, jak np. w przypadku „Così fan tutte” Mozarta. Sięgnięcie po „Dziewczynę z Zachodu” jest zamierzeniem na pewno ambitnym i interesującym. Mamy okazję oglądać i słuchać Pucciniego, jakiego nie znamy. Objęcie kierownictwa muzycznego przez dr. Zygmunta Latoszewskiego zapewniło staranne przygotowanie dzieła, dobre, czyste brzmienie orkiestry. Ogromna liczebnie orkiestra, silnie brzmiący męski chór sprawiają, że soliści muszą tu dysponować

dużymi, nośnymi głosami. Inaczej partie solowe giną w masie dźwiękowej orkiestry i chóru. Szczególnie trudna jest w tym układzie rola Minnie. Trudna zresztą nie tylko głosowo, ale i aktorsko. Podobno sam Puccini, jako rasowy człowiek teatru, żywo uczestniczący w tworzeniu libretta, miał z ustawieniem tej postaci kłopoty. Nie mniejsze mają wykonawczynie. Grać anioła z pistoletem w ręku, nauczać Biblii sprzedając whisky i do tego śpiewać trudną muzycznie partię, to zadanie nie lada. Obydwie wykonawczynie wybrały odmienne koncepcje aktorskie. Halina Romanowska stworzyła sylwetkę bardziej wyciszoną, raczej — mimo wszystko — liryczną. Alicja Dankowska usiłowała pogodzić anioła z rewolwerowcem o temperamentie nieco rubasznym. Rezultaty nie były przekonujące. Halina Romanowska zaśpiewała swą partię bardzo ładnie. Alicja Dankowska, dysponująca słabą średnicą, w niektórych fragmentach była słabo słyszalna. Wydaje się, że i Jerzy Orłowski (Ramerrez) nie dysponuje dostatecznie do tej partii — wymagającej raczej tenora bohaterkiego — silnym głosem. Z dwóch wykonawców partii szeryfa lepiej zabrzmiał Jerzy Jadczyk, nie zawodził i Eugeniusz Nizioł, odznaczający się kulturą wokalną i dobrą dykcją. A z dykcją w ogóle było nie najlepiej. Tekst, niestety, bardzo rzadko dochodził do widowni i to zarówno w partiach solowych jak i choralnych. Naprawdę dobrze zrozumieć można było tylko tekst podawany przez Stanisława Michońskiego (Ashby) i Zdzisława Krzywickiego. Ładnie zaśpiewał swą balladę Zdzisław Jankowski (Jake Wallace). Trudno wymienić tu wszystkich wykonawców, występujących w obu przedstawieniach, opera jest wieloobsadowa, z kurtuazji wymienię więc jeszcze tylko Izabelę Kobus, która śpiewała mało, ale ładnie.

Reżyser Marek Okopiński wyznał, że pracę swą potraktował jako funkcję służebną, podporządkowaną wymaganiom kierownictwa muzycznego i tak zapewne było. Osobiście mam tylko jedną pretensję. Scena, w której Minnie czyta Biblię bardzo mi jakoś przypominała królową Śnieżkę wśród krasnoludków. To można chyba było zainscenizować jakoś mniej śmiesznie.

Całość zainscenizowana została na obrotówce, co zapewne służyło dwóm funkcjom. Urozmaiciło akcję, a jednocześnie, skupiając wykonawców na określonej przestrzeni, wzmocniło brzmienie głosów. Scenografia Mariana Kołodzieja stylizowanie westernowa może być uznana za udaną.

*) „DZIEWCZYNA Z ZACHODU” — Giacomo Puccini; libretto — G. Civinini i C. Zangarini; kierownictwo muzyczne — Zygmunt Latoszewski; reżyseria — Marek Okopiński; scenografia — Marian Kołodziej; kier. chóru — Włodzisław Pospiech. Teatr Wielki w Łodzi. Premiera 24. IV. 1971 r.

POLONICA

HUMORESKI FIJASA
W OBCYCH JĘZYKACH

Jak się dowiadujemy, jedyna z humoresek Zygmunta Fijasa ukazała się w miesięczniku „Polska” w sześciu językach. Inna: „Sposób na halasy”, po angielsku „Remedy for Noise”, była także tłumaczona na język francuski, hiszpański, niemiecki, rosyjski. W tym samym tygodniku, drukowanym w kraju dla zagranicy, w nrze 33 wydrukowano humoreskę „Jego przyjaciel i jego ryby”. Po angielsku: „His Friend and His Fishing”, po francusku „Son ami et ses poissons”, po rosyjsku „Jego drug i jego ryby”, po hiszpańsku „Su amigo y sus peces”, po niemiecku „Sein Freund und seine Fische”. Ta ostatnia była tłumaczona wraz z utworem Bogdana Czeski, ta przedostatnia z nowelą Antoniego Goltubiewa „Przy moście” po angielsku „Beside the Bridge”. Nazwy tego tygodnika drukowanego dla zagranicy: „Polish Weekly”, „Hebdomadaire Polonais”, „Polnische Rundschau”, „Revista Polacca”.

WAJDA W PARYŻU

Z okazji paryskiej premiery dwóch filmów Andrzeja Wajdy, „Kraj obraz po bitwie” i „Wszystko na sprzedaż”, szereg pism tamtejszych zamieściło wywiady z naszym inscenizatorem i artykule o nim. Recenzje są pełne uznania. Louis Marcelles w „Le Monde” przypomniał wielkie sukcesy, odniesione począwszy od 1954 roku, na terenie francuskim przez „Pokolenie”, „Kanał”, „Popiół i diament” (rewelacja aktorstwa Zbigniewa Cybulskiego) Z obecnej obsady filmów Wajdy najczęściej jest wymieniany Daniel Olbrychski. Marcelles wspomina przy tym o jego entuzjastycznie przyjętej roli w przedstawieniu „Hamleta” w Teatrze Narodowym.

W. N.

CHRÓSCIELEWSKI
PO LITEWSKU

W 14 tegorocznym numerze tygodnika litewskiego

ADAM OCHOCKI

W STARYM „EXPRESSIE”

Pierwszą stronice „Expressu” redagowali na zmianę Passierman i Weiss. Przez tydzień każdy z nich przychodził rano do redakcji, a w następnym tygodniu w nocy łamał depeszy kolumny „Republiki”. Z Weisssem były kłopoty. Spóźniał się do „Expressu” notorycznie, co rzutowało na kolejne procesy produkcyjne. Li-notyści, metrapaże, a także pracownicy kalendarza i rotacji, wyskakiwali ze skóry, żeby popołudniówka na czas ukazała się na mieście, broń Boże nie później niż „Echo”. — Panie Weiss — powiedział kiedyś redaktor Polak — albo pan będzie przychodził punktualnie, albo pana spalię!

— Ja... ja...
— Był pan w wojsku?
— Kategoria „D”, panie redaktorze...
— Jak ułał pasuje ta litera do pana. Widać, że nie służył pan w wojsku, tam nauczyliby pana subordynacji. Niech pan słucha: od jutra codziennie o ósmej rano będzie pan dzwonił do mnie do domu i meldował przyjęcie do redakcji. Ósma zero, zero, Zrozumiano?
— Tak... panie redaktorze. Weiss skrupulatnie wypełniał polecenie szefa. W tygodniu, gdy łamał „Express”, co dzień punktualnie o ósmej dzwonił do Polaka, wypowiadając sakramentalne „To ja, panie redaktorze”, a Polak

odmrukiwał sennym głosem „Dobra” i przewracał się na drugi bok. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że Antek Weiss dzwonił do szefa z... domu, w kompletnym dezabilu, z namydlonymi do golenia policzkami, a w redakcji zjawiał się po dawnemu, w ostatniej chwili. Radowała go fantastyczna rutyna w adiustacji materiału i świetne wyczuwanie polityczne — szybko i nieomylnie decydował się co dać na czołówkę i resztę pierwszej strony. To był dobry dziennikarz. Do nas wprawdzie pisywał rzadko, ale jako łódzki korespondent „Ikaca” zasiliał dziennik krakowski celnymi artykułami. A w okresie, gdy „Ikac” wydawał „Tajnego detektywa”, cichy i wiecznie zahukany Weiss ubiegał wszystkich korespondentów: jego oczekujące krwią relacje były i najszybsze i najciekawsze.

Pewnego razu, gdy Antek jak zwykle telefonował do szefa z domu, zawiadamiając go o swym przybyciu do redakcji, Polakowi przypomniało się, że ma jakiś interes do metrapaży. Zamiast więc zwykłego „Dobra” powiedział:

— Niech pan zawiąże Smulskiego.
— Smul... Smulskiego?..
— Przecież on łamie dziś „Express”?

— Tak... ale jest w ubikacji.

— To niech zaraz do mnie zadzwoni.

Przerażony Weiss połączył się z redakcją i ubiegał Smulskiego, żeby natychmiast zadzwonił do Polaka i broń Boże nie wygadał się, że jego, Weissa, nie ma jeszcze w pracy. Po czym, nie ogoliwszy się, pomknął na Piotrkowską 49, zapinając po drodze guziki.

Ale pech uwiązał się tego dnia na biednego Antka. Gdy Smulski zadzwonił do Polaka, ten, przekazawszy mu jakąś dyspozycję, kazał poprosić Weissa do telefonu. Widać resztki snu uleciały spod powiek redaktora i chciał się dowiedzieć co idzie na czołówkę „Expressu”.

Smulski z determinacją radował Weissa.

— Pan redaktor Weiss nie może podejść do telefonu. Jest w ubikacji — lgał, jak najęty, nie wiedząc, że parę minut temu Weiss jego tam ulokował.

— Czy wyście tam dzisiaj wszyscy biegunki dostali?! — zakpiął Polak i powziawszy podejrzenia zadzwonił pod numer działu sportowego. Goniąc poinformował go, że redaktor Weiss nie przyszedł jeszcze do redakcji!

Odtąd zamiast Antka przy łamaniu „Expressu”, Passiermana dublował elegancki, pełen wytwornych manier, pan Zbigniew Koliński, były redaktor „Rozwoju”, który imponującą wprost wykładką przy biurku redakcyjnym z nieodłącznym monokleem w oku.

Passierman był punktualny i doskonale dawał sobie radę nie tylko z doborem wiadomości na pierwszą stronę gazety. Zanim go posadzono na redaktorskim stołcu, robił wywiady dla „Republiki”, dając pokaz niezwyklego sprytu, graniczącego z tupetem. Szczególną sławę zyskał mu wywiad z komisarzem ludowym ZSRR, Czczerinem. Właściwie, według obowiązującej wówczas nomenklatury, nie był to wywiad, lecz „interview”. Linia podziału wśród speców od tego gatunku twórczości dziennikarskiej przebiegała wyraźnie: gdy dziennikarz rozmawiał z dozorczą, kominiarzem czy służącą — wówczas był to wywiad. Natomiast, gdy interlokutorem była jak w tym wypadku jakaś osobistość, wówczas rozmowę przeprowadzało się i nie był to wywiad, lecz właściwie interview. Tak pięknie brzmiące słowo w tytule czy w podtytule pod-

nosiło wagę rozmowy i wywoływało odpowiedni efekt.

Georgij Czczerin, pierwszy ludowy komisarz spraw granicznych Związku Radzieckiego, przejeżdżał przez Łódź wkrótce po zamachu na radcę handlowego poselstwa ZSRR w Warszawie, Lizariewa. Policja gości obstawiała teren Dworca Kaliskiego. Zadanemu z łódzkich dziennikarzy nie udało się precyzyjnie przez sito policji mundurowej i wywiadowców. Sztuki tej dokazał jeden tylko Henryk Passierman! Dzień wcześniej zawarł on znajomość z zatrudnionym w bufecie kolejowym pikolakiem, który za parę złotych (sknera Passierman targował się ząb za ząb!) zgodził się odstąpić dzień pracy. Zainkasowawszy prezorowanie należność z góry, pikolak oddał Passiermanowi swój biały kitel służbowy i powiedział kierownikowi bufetu, że musi wyjechać w pilnej sprawie rodzinnej, ale zastąpi go kolega po fachu.

Gdy wioząca komisarza Czczerina salonka wtoczyła się na peron, Passierman postawił na tacy szklanki, imbryk z wrzątkiem, talerzyki, kanapki, po czym pewnym krokiem, włożając „Herbatę, herbatę dla pana komisarza!”, przez nikogo nie zatrzymywany, ruszył na peron. Zna-

„Literatura Ir Menas”, wychodzącego w Wilnie, ukazała się cała kolumna wierszy Tadeusza Chrościelewskiego. Wiersze poprzedza notka bio- i bibliograficzna, stanowiąca skrót informacji, wziętej ze skrzydełka powieści „Szkariatna godzina”, i zdobi fotografia autora.

A oto tytuły polskie utworów, które pięknie na język litewski przetłumaczył Sirijos Gra: Elementarz, Elegia na Dzień Zaduszny, Ballada o czerwonym burzynie, Słowo do ksiąg pruskich i Życie po...

Warto dodać, że w tym samym numerze znajduje się recenzja o najnowszej książce Moniki Warnieńskiej, poświęconej rodzinnym stronom Mickiewicza, informując o tych cennych polonistach w literackim tygodniku, nie możemy nie wyrazić zdziwienia, dlaczego w kraju o tak starej kulturze jak Litwa zniekształca się imiona i nazwiska. Tadeusz Chrościelewski nazywa się tam Tadeusas Chruscielewskis, a np. romantyczny poeta węgierski Sandor Petöfi — Sandoras Petefis. W każdym europejskim kraju zachowuje się nazwiska w ich brzmieniu oryginalnym. Na Litwie — nie. Czy to nie dziwne?

JK.

ROCZNICE W „POLYMIU”

W ostatnim numerze miesięcznika POLYMIU, który jest organem Związku Pisarzy Białoruskich w Mińsku, znajdujemy aż dwa rocznicowe polonice: poemat-rapsod żalobny „Na śmierć Jarosława Dąbrowskiego”, pióra Hwiedara Życzki, będący artystyczną formą uczczenia setnej rocznicy Komuny Paryskiej, poprzez oddanie hołdu pamięci wielkiego Polak-rewolucjonisty, generała Jarosława Dąbrowskiego. Drugi polski akcent w tym numerze to „Reportaż z pustego pola” Wiesława Jazdyńskiego, w przekładzie świętego pisarza i tłumacza — Janki Bryła. Zamieszczenie tego reportażu zbiega się z uroczystością odsłonięcia pomnika, jaki miasto Łódź wystawiło tym najmłodszym ofiarom hitlerowskiego terroru i zbrodni.

(6)

POLONICA

laższy się w salonce, odstał tace, jedną ręką otarł pot z czoła, a drugą bezpośrednio gestem wyciągnął do komisarza.

— Bardzo przepraszam, ale wprowadziłem pana w błąd. Nie jestem pikolakiem... Passierman z redakcji „Republiki” — przedstawił się. Moi szefowie polecieli mi przeprowadzić z panem komisarzem interwju na temat sytuacji politycznej...

Komisarz Czczerin znał polski. Roześmiał się, uściślił dłoń Passiermanowi i powiedział:

— A moi szefowie polecieli mi nie udzielać żadnych wywiadów na tematy polityczne. Chcę jednak wynagrodzić jakoś pański trud. Proszę bardzo, możemy porozmawiać o polskich romantykach, powiedzmy o Słowackim, którego cenię najbardziej z waszych poetów. Jak pan sądzi, redaktorze, czy Towiański głosząc idee mesjanizmu, wywarł wpływ na Słowackiego dopiero przed samą śmiercią poety, czy wcześniej, gdy tylko zetknęli się w Paryżu?

Tutaj niestety, Heniek niewiele miał do powiedzenia, tak się bowiem fatalnie dlań złożyło, że ze szkołą rozstał się dość wcześnie. Spojrzał na zegarek, bąknął kilka słów

o pośpiechu pracy redakcyjnej, szybko wycofał się z salonki i bodajże w pożyczonym kielchu poewalał do „Republiki”. Tam napisał kwieciste o swej przygodzie z komisarzem Czczerinem, o tym jak mu się udało wprowadzić w pole całą obstawę i jak komisarz chciał uciąć z nim dyskusję o literaturze polskiej, ale brak czasu stanął temu na przeszkodzie. Bomba poleciała na pierwszą stronę i Heniek dumny jak paw przez kilka miesięcy czołdził po mieście.

Pierwszą czynnością redaktora depesowego po przyświecie do redakcji było błyskawiczne przejrzenie porannej prasy lokalnej, warszawskich gazet oraz tasemcowych pasków papieru z ostatnimi doniesieniami politycznymi, które bez przerwy wypływał trzaskający jak karabin maszynowy teleskryptor. Depesz z porannej prasy, podobnie jak wiadomości łódzkie, również nie powtarzano w popołudniowe. Co najwyżej służyły one jako materiał do komentarza, uzupełniającego najważniejsze informacje.

No dobra, dobra, ale co dać na czołówkę? Na cztery szpalaty od góry! Najchętniej widziane były na tym miejscu sensacje lokalne, bo wtedy gazeciarze, biegnąc przez ulice, na całe gardło wykrzykiwali tytuły i ludzie wyrwali im gazety z rąk. Dobry był jakiś mordzik rabunkowy, a jeszcze lepsze zabójstwo na skutek zawiedzionej miłości. Od biedy mogło być włamanie w śródmieściu, strzelanie na uliczną, ucieczka więźnia w czasie transportu do więzienia czy sądu, milionowy spadek z Ameryki dla łodzianina. Gdy nie było takich bomb i gdy teleskryptor nie wystukiwał żadnych rewelacji, „depezwowiec” szedł na ustępstwa.

— Panie Gruenfeld, ma pan coś?
— Dwa samobójstwa i pożar.
— Jakże samobójstwa?
— Kobieta napiła się większej dozy jody, w stanie groźnym karetka Pogotowia...
— To może pan sobie wsadzić, już pan wie gdzie.
— ...i skok z czwartego piętra, śmiertelny.
— A co się paliło?
— Sadze w kominie.
— Dawaj pan ten skok, ale ze szczegółami!

Dobrze powiedzieć, tylko jak na poczekaniu zebrać szczegóły? Dzwonienie do komisariatów niewiele dawało. Dyżurni albo nie jeszcze nie wiedzieli, albo nie chcieli przed uzgodnieniem z przełożonymi informować prasy,

Główna wygrana w Totolotka 14 kwietnia 1968 roku padła na numery: 8, 15, 20, 24, 40 i 43. Los uśmiechnął się wtedy do spółki żeńskiej z pewnej łódzkiej fabryki. Szczęśliwe niewiasty zwoływały się na parę godzin z pracy i dyskretnie, chyłkiem poszły do kasy po okrągły milion. Podzieliły go równo na cztery części i sprawa załatwiona.

KAROL BADZIAK

MILIONERKI SA WŚRÓD NAS

ków na tę okoliczność, gdyż art. 80 kodeksu cywilnego stanowi, iż oświadczenie woli może być przez osobę wyrażone przez każde zachowanie się, które woli o objawia w sposób dostateczny. Do zawarcia umowy zobowiązującej wystarcza złożenie stosownego oświadczenia woli.

Sformułowanie to może się wydać komuś zbyt zawile, lecz jego sens jest dość prosty. W końcu sąd to nie rada narodowa, gdzie każdy musi mieć podkładkę na papierze, a rozprawa sądowa różni się tym od felietonu sądowego, że zamiast morałem kończy się wyrokiem. Z. H. wygrała sprawę w pierwszej instancji, sąd orzekł,

że każda ze współniczek winna przekazać przyjaciółce po 50.000 złotych.

Ludzka natura jest jednak ulonna, zwłaszcza, jeśli idzie o sprawy finansowe, więc cztery dotychczasowe przyjaciółki założyły rewizję od tego, ich zdaniem, krzywdzącego wyroku. Sprawa wróciła ponownie na wokandę. Drugi wyrok również zapadł na korzyść Z. H. Sąd wziął pod uwagę, że pozwane ukrywały celowo wygraną przed powódką. Inna sprawa, że ludzie z reguły tylko przegrani się chwala, wygrane skrzętnie chowają w wiadomym tylko miejscu, to jest, oczywiście, w PKO. Nic więc dziwnego, że



Fot. A. Różycki

Trzeba więc było zdać się na fantazję. Hipotezy wysuwało się różne. Jeśli samobójcą, jak w tym wypadku, był młody mężczyzna, to ani chybi targnął się na życie pod wpływem zawodu miłosnego. Zakochał się w jakiejś dziewczynie, która początkowo darzyła go sympatią, potem jednak poznała innego, doszło między nimi do dramatycznej rozmowy, zawiedziony w swych uczuciach młodzieniec najpierw chciał zgładzić ukochaną, potem zmienił zamiar, wszedł na klatkę schodową, palił papierosa za papierosem, podchodził do okna, cofał się, widocznie żał mu było zostawać się z młodym życiem, ale miłość okazywała się silniejsza i wdrapawszy się na parapet wykonywał desperackie salto mortale z imieniem lubej na stygnących ustach.

Przechodnie mieli „krew w żyłach mroźny widok”, a „Express” czołówkę z czerwonym (krew!) tytułem. A że później okazało się, iż powodem rozpaczliwego kroku była, powiedzmy, nieuleczalna choroba, czy utrata pracy, i że wszystko w tej relacji z wyjątkiem nazwiska desperata załgane jest od początku do końca — nikt reporterowi wyrzutów nie czynił, a sprostowań z zasady nie zamieszczano. Ciekawa rzecz:

ludzie rzadko domagali się ich, to nie to co teraz, kiedy na jedną wiadomość przychodził i po pięć sprostowań. Owszem, bywało, że rodzina ofiary zgłaszała się do redakcji z pretensjami i żądała odwołania, bo wszystko zostało w gazecie przekręcone, ale wówczas autor, bo do niego kierowano interesantów, przeprowadzał z nimi dyplomatyczną rozmowę.

— I co z tego, że damy sprostowanie? Chcicie, państwo, żeby jeszcze raz pisał o tym wszystkim? Ze szczegółami? Po co? Do jutra ludzie zapomną, a tak od nowa wywleczę się tę historię na światło dzienne. Dobrze państwu radzę, lepiej zaniechać...

Najpraktyczniej urządził się Koliński. Ten zawsze miał kilka zapasowych czterospaltówek dla „Expressu”. Pieczołowicie wycinał różne duperele z prasy krajowej, przeważnie zagraniczne „michalki”, i gdy wszelkie źródła zawodziły — sięgał do niezawodnej kieszonki w kamizelce, gdzie nieraz tygodniami kisiły się zależki przyszłych, pierwszoplanowych sensacji „Expressu”.

Dostojny pan Zbigniew z wszystkimi w redakcji był na „pan”, a że niektórych nazwisk nie pamiętał, zwłaszcza

swe powodzenie szczęśliwa czwórka ukryła również przed załogą zakładów, aby uniknąć kłopotów, jakie stają się udziałem osób obdarowanych przez los. Okazuje się, że łatwiej milion wygrać, niż ten biały fakt ukryć jednak przed bliźnimi. Pracownicy fabryki dowiedzieli się o wszystkim, zawrzało w zakładzie. Zakładowa opinia wyraziła swą dezaprobatę całej cyworce. Wysłano nawet list do sądu z podpisami, popierającymi rozszczęnia pani Z. H. Chciwość ludzka została przez ludzi napiętnowana. Niemniej podczas kolejnej, bodajże już trzeciej, rozprawy Z. H. nieoczekiwanie spór przegrała, sąd oddalił jej pretensje. Teraz się ona z kolei odwołuje.

Sprawa, jak widzimy, nabiera coraz bardziej charakteru sportowej walki. To już prawie ping-pong — gra ostatnio w świecie modna, lecz nieco nużąca. Proces ciągnie się już trzeci rok, kosztą sądowe i adwokackie przypuszczalnie urosły gdzieś do sumy 50 tys. zł. Tymczasem same odsetki z tego miliona, gdyby został złożony w PKO, dałyby do tej pory kwotę 150.000 zł. Nie muszę chyba dodawać, że taki proces to zła była dla adwokatów.

Oczywiście z prawnego punktu widzenia sprawa jest dość skomplikowana, z moralnego punktu widzenia jest natomiast bardzo prosta i jednoznaczna. Ironia losu polega bowiem na tym, że ludzie potrafią przez wiele lat razem w zgodzie przegrzywać, a trudniej im jeden raz w zgodzie wygrać.

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

ZNAKI OBOJETNEJ RADOŚCI

Współczesna cywilizacja jest zdominowana przez miasto, a technika i urbanizacja wytyczają kolejny żywca człowieka drugiej połowy XX wieku. Intensywność oddziaływania miasta jest faktem i w dziedzinie kultury wywiera coraz silniejszy wpływ na kształtowanie przeciętnej psychiki i przeciętnych wzorców kulturowych. Również i artyści coraz rzadziej reagują na świat ukształtowany przez przyrodę, a coraz bardziej na krajobraz powołany do życia przez człowieka.

Sztuka Carmiego wywodzi się wprost z fascynacji chaosem reklam, znaków drogowych, neonów, informacji świetlnych, światel, ogłoszeń i całej graficznej „subkultury” miejskiej. Carmi przyjmuje sygnalizację miejską jako dzieło samo w sobie i jako wlot nowej technicystycznej estetyki. Dzieła Carmiego nie różnią się więc zewnętrznie — w warstwie czysto ikonograficznej — od funkcjonujących normalnie znaków i sygnałów. Ale twórczość nie polega przecież na powielaniu działalności sztywności, Carmi tworzy podświetlone „znaki”, które nie wyrażają niczego ani też niczego nie sygnalizują. Mają one wartość pustych znaków plastycznych, abstrakcyjnie czystych — i odwołują się wyłącznie do samej idei komunikatu wzrokowego odrzucając myśl o jakichkolwiek skojarzeniach znaczeniowych.

Obrazy Carmiego są więc swego rodzaju atrapami. Atrapami systemu, — gdzie każdy napis, każdy znak, każdy sygnał, na które natrafiamy co dzień po tysiącu razy, przed czymś przestrzega, czegoś zabrania. Atrapy — znaki Carmiego nie mają tych funkcji. One po prostu istnieją, przyciągając wzrok piękną grą fantastycznych kolorów i urzekają nas doskonałym i nowoczesnym wykonaniem

technicznym. Carmi proponuje więc zabawę w same znaki wyzwolone ze swojej użytecznej funkcji. Tu nie ma zakazów ani nakazów, nie trzeba ograniczać szybkości, ani skręcać obowiązkowo w prawo. Nawet napisy, które czasem pojawiają się u Carmiego, nie mają żadnego znaczenia, któremu można byłoby przypisać jakąkolwiek treść.

Carmi zna wagę reklamy wizualnej i nie bagatelizuje jej znaczenia. Jego dzieła nie są więc pastiszami ani kpiną z cywilizacji miejskiej. Znaczenie tej sztuki jest szersze, bo uczy ona swobody i relatywizmu w przyjmowaniu sztuki w ogóle, stawiając ją w jednym rzędzie z całą ikonografią pozartystyczną, która przecież wywiera tak przemożny wpływ na naszą wyobraźnię. Carmi uczy tylko nowej estetyki, nowego spojrzenia na fantastykę cywilizacji technologicznej, przywracając jej wymiary pierwszych radosnych wynalazków technicznych.

Plexiglas, plastik, światła i kolorowe barwniki fluoryzujące — są materialnym tworzywem prac Carmiego. Urok doskonałego fabrycznie wykonania tych prac wywołuje jednocześnie szacunek dla precyzji technicznej w sztukach plastycznych. Ta plastyka powielana fabrycznie — jak różne inne wyroby — w całych seriach, multipli, pozwala na rozprzestrzenianie i popularyzowanie nowej estetyki Carmiego. Jest ona może zaskakująca dla odbiorcy o tradycyjnie przygotowanej wyobraźni. Jest ona jednak — poprzez swoją całkowitą abstrakcyjność — łatwa w percepcji wzrokowej i dlatego niezwykle szybko przyswajalna. Stąd też kolorowy i świetlny czysto zewnętrzny świat Carmiego nie może się nie podobać, ani też nie może nikogo drażnić. Smak artystyczny, który rozprzestrzenia Carmi swoją sztuką może kształcić wyobraźnię stan

darową, ale nie wykształca zamilowania do banatu i pseudosztuki. Zgoda, że artystyczny świat Carmiego jest może zbyt sterylnie piękny, ale takie są przecież przedmioty naszej cywilizacji i do takich form dążymy na każdym kroku. Równie przecież nierealny jest pokuszkujący lakierem i chromem najnowszy samochód,

telewizor czy samolot. Żyjemy w świecie estetyki przedmiotu, który stworzyliśmy sami ze zwykłego upodobania do posiadania rzeczy coraz to nowszych i coraz to bardziej dalekich od kształtów doczłowiec przyrody.

* Eugenio Carmi — Dzieła najnowsze — Muzeum Sztuki w Łodzi, kwiecień — maj 1971



Wymagowany znak elektryczny

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

★ WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI — „Ktokolwiek będziesz...”

★ KAROL BADZIAK — Wesele na zgłiszczach

★ ANDRZEJ GRUN — Co będzie z tym placem?

oraz recenzje, felietony, nowy konkurs literacki, nowela.

OBIEKTYW

ODNOWA MIASTA

Rzadko się zdarza, że telewizyjna audycja publicystyczna staje się tematem rozmów, przedmiotem towarzyskich „co słychać?” Ten rodzaj zainteresowania telewizją rezerwuujemy zazwyczaj na audycje rozrywkowe — „Rundy”, kabarety, festiwale. I oto stała się rzecz z pozoru niecodzienna. Odbrymnie zainteresowanie wzbudził w Łodzi prawie półgodzinny program Wiesława Machajki i Jerzego Bindera pt. „Odnowa miasta”. Program — przecież w swej warstwie formalnej, realizatorskiej ani lepszy ani gorszy od innych publicystycznych audycji. Co zatem sprawiło, że „Odnowa miasta” poruszyła Łódź?

Po prostu powiedziano w tym programie rzeczy gorzkie i dla nas wszystkich istotne, powiedziano nam to, o czym po części wiedzieliśmy lub to, co odczuwamy na własnej skórze — a o czym dotychczas wstydliwie milczano. To stara prawda — powiedzieć głośno, że król jest nagi, że miasto jest zaniedbane, powiedzieć głośno prawdę — wielka to zasługa realizatorów i duże poruszenie wśród odbiorców.

Program był robiony z pasją i fryzją, na te wszystkie przemilczane dotąd dyskriminażje Łodzi, ten polityrowany ton i te pasję wprowadziła już święta „czołówka” programu, a więc to, że 85 tys. łódzkich mieszkańców ze zdobyczy cywilizacji ma tylko... elektryczność, że jesteśmy na końcu miast wydzielonych w ilość miejsc w zakładach gastronomicznych, że mamy najmniejszą liczbę lekarzy na 10 tys. mieszkańców, że mamy najmniejszą liczbę łóżek szpitalnych najmniej miejsc hotelowych, mniejsze niż gdzie indziej mieszkania w nowym budownictwie... Jeszcze co najmniej 100 tys. mieszkańców musi korzystać z wody doprowadzonej beczkowozem... A jednocześnie Łódź wypracowuje nadwyżkę trzykrotnie wyższą niż gdzie indziej. Łódzki przemysł jest „akumulatywny” i daje duży dochód — jeden dzień pracy Zakładów im. Marchlewskiego wart jest 6,5 mln zł. A jednocześnie zakład ten nie jest w stanie zainstalować sobie klimatyzacji za kilkanaście milionów złotych.

Łódź była przez lata traktowana po macoszemu — taki wniosek nasuwała pierwsza część audycji. Łódź nie będzie już więcej traktowana jak ubogi krewny — taki wniosek wyciągaliśmy z dalszych rozmów, wypowiedzi i rozważań autorów i współrealizatorów programu. Była to więc audycja optymistyczna mimo tragicznego prawie katalogu zaniedbań, jaki w niej ujawniono.

Bolesław Koperski — I sekretarz KE PZPR mówił o 150 tys. izb, o przyspieszeniu budowy kanału Pilica-Łódź (deficyt wody mamy w mieście ogromny), mówił także o tej nowej Łodzi — osiedlach na obrzeżach i o starym, nie doinwestowanym przemyśle w centrum. Mówił — rzecz może drobna, lecz jakże charakterystyczna — nie z zaciśniętym ustami, lecz z ruchliwej łódzkiej ulicy, naprzeciw starych domków, obok tramwajów załadowanych do granic możliwości.

Może właśnie to wszystko razem — pasja i prawda w oczy, szczery ton i bezpośredniość — sprawiły, że program stał się w Łodzi głośny, choć godzinę emisji miał wyjątkowo nieszcześliwą.

Moim zdaniem był to dobry, potrzebny program publicystyczny choć składał się z elementów banalnych — wywiad, dokrętka filmowa, „wypowiedź”, informacja... Z tych samych elementów powstają nudne publicystyczne pily — w tym wypadku pasja ożywiła audycję, nadała jej barwę i rumieńców.

Zastanawiam się tylko jak przyjął tę audycję widz programu ogólnopolskiego, widz nie związany z Łodzią, nie zaangażowany w jej problemy i kłopoty? Być może natłok zagadnień, ich złożoność i wymiar — nie pozwoliły widzowi z zewnątrz ogarnąć wszystkiego, co autorzy i uczestnicy programu chcieli przekazać. Ale jedno jest pewne — widz „Polski” zrozumiał na pewno, że Łódź chce i będzie współdecydować w rozwiązywaniu swych narosłych problemów, że nie pozostanie nadal na pozycji warsztatu, przynoszącego olbrzymi dochód, lecz w który niechętnie się inwestuje.

A widz łódzki? Usłyszałem w tramwaju zdanie na temat „Odnowy miasta”: „Jeśli mówią, że jest źle — znaczy, że będzie lepiej”. Bowiem w odczuciu społecznym otwarte mówienie o brakach i zaniedbaniach jest widomym sygnałem do naprawy. Słusznie to odczucie.

ZASTĘPCA



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Roman Załuski debiutował pełnometrażowym filmem telewizyjnym „Dom”. W jego nowym, wchodzącym tym razem na ekrany kin filmie „KARDIOGRAM” odnajdujemy te same cechy, które zwracały uwagę w „Domie”. Oba filmy przyniosły to, czego tak bardzo brak w ostatnich polskich propozycjach twórczości filmowej — nieklamany autentyczność wybranego środowiska ludzkiego, jego wizerunek społeczno-obywatelski i prawdziwe problemy.

Załuski w obu wypadkach zajmuje się społecznością małego miasteczka i okazuje się dobrym obserwatorem. Na realistycznie obserwacyjnym zresztą nie poprzestaje, poszukuje najbardziej dla niego typowych problemów i sytuacji konfliktowych. W „Kardiogramie” postacią wiodącą jest młody lekarz (przekonywająco grany przez Tadeusza Borowskiego), którego poznajemy po roku pracy w miasteczku. Miejsce doktora Rawicza w życiu miasteczka, to nie tylko masa zawodowych obowiązków, wykonywanych zresztą bardzo rzetelnie, to także wiele spraw społecznych i moralnych, wobec których trzeba umieć zająć stanowisko. Świadomość odpowiedzialności za wiele spraw często wychodzących poza krąg obowiązków zawodowych określa i kształtuje postawę młodego lekarza. To wszystko teoretycznie odnosiło się również do

praktyki doktor Ewy, jak obraz tych spraw można było zafaloszować mielibyśmy okazję podziwiać w niesławnej pamięci serialu „Kardiogram” Załuskiego realizowany równoległe z „Doktor Ewą” jest repliką twórców, którzy swoje zadanie potraktowali serio i uważnie.

Ową rzetelność realizatorów widac szczególnie w sposobach portretowania mieszkańców miasteczka, w szukaniu ich spraw prawdziwych, w realiach obyczajowych — jesteśmy wreszcie wśród ludzi, słyszymy wreszcie z ekranu dialogi, które są mową codzienną. Wybór dramatycznych otwartych, nie zamkniętych wątków jest zabiegłem ściśle podporządkowanym intencjom twórców — w ich filmie nie znamy pomysł literacki i jego powodzenie gra rolę główną. W „Kardiogramie” znaczący życie uchwycone w dniu codziennym; jest ono szare i smutne, tak jak pejzaż miasteczka, w środku wypełnione ludzkimi dramatami, rozterkami, radością i pracą. Nie ma na nie recept prostych, szuka się ich w działaniu.

• • •
Pamiętne „Noce Cabirli” F. Felliniego w hollywoodzkiej wersji czyli musical „SŁODKA CHARITY”, zgodnie z amerykańskim zwyczajem, nim stał się filmem odnosił sukcesy na Broadway’u. Zarówno jego wer-

sję sceniczną jak i filmową reżyserował ceniony wielce choreograf Bob Fosse, muzykę napisał Cy Coleman, filmową Charity zaś grała pełna temperamentu i uroku Shirley Mc Laine — tym razem również tańcząca i śpiewająca.

Traktować „Słodką Charity” jako „remake” „Nocy Cabirli”, porównywać oba te filmy byłoby zajęciem na tyle bezsensownym, że należy je chyba sobie darować. „Słodką Charity” jest na tyle amerykańskim utworem, że nawet pamięć o źródle fabularnego pomysłu tak naprawdę nie jest nam potrzebna, choć zapowiada koleje losu bohaterki filmu.

W kraju naszym, w którym szczytem musicalowych osiągnięć jest „Miłość szejka”, znajomość i popularność tego typu widowiska znaczy tyle, co znajomość filmowych wersji szlagerów Broadway’u. Nie oglądamy ich wprawdzie zbyt wiele, ale zawsze to już wystarczy, by móc je sobie cenić lub nie. „Słodką Charity” jawi nam się jako rzecz tyle samo ładna, co zbyt długa, a w związku z tym ciut nudna. Talent i urok Shirley Mc Laine satysfakcjonuje wprawdzie w wielu tragicomicznych partiach filmu, jednak nawet ona nie jest w stanie wypełnić dwóch i pół godzin spektaklu, w związku z tym wiele w nim, niestety, pustych miejsc. Zdecydował o tym zapewne fakt, że B. Fosse debi-

tował tym filmem jako reżyser, nie zawsze więc czuł wytrzymałość filmowego widowiska. Zbyt montaż w cudowną możliwość wmontował, który wszystko w całość zlepił. Z drugiej zaś strony widac wysiłki reżysera, zmierzające w kierunku odejścia od pewnych stereotypów musicalowych, wzbogacenia filmu stylizacyjnymi zabiegami. Między innymi ładnie i celnie użykuje „stop-klatki”, które robią zresztą zawrotną karierę w dzisiejszym filmie. Fosse stosuje je szczególnie żęcznie, dzięki nim buduje sens i atmosferę wielu scen swego filmu. Potwierdza też swą opinię świetnego choreografa — dwie zwłaszcza sekwencje — zapraszający taniec dziewcząt w nocnym lokalu i scena zabawy w ekskluzywnej restauracji — imponują nie tylko choreograficznymi układami i filmowym sposobem ich zapisu, lecz także podtekstem ich znaczeń. Dużą atrakcją filmu jest też wokalnolansowy występ Samy Dawisa Jr. w hippiesowskiej partii filmu. Sama Mc Laine gra jak zwykle cudownie, tańczy i śpiewa z wielkim temperamentem, choć jej taneczne popisy wypadają nieco skromnie, gdy jest na ekranie nie sama, lecz w towarzystwie swych zawodowo tańczących koleżanek, świetnej Pauli Kelly i Chity Rivara. Kto zatem lubi i wytrzymał musicala, niech „Słodką Charity” ogląda.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„ZOLA W KORONKACH”

Tak ją nazywa recenzent tygodnika paryskiego „L'Express”. Joyce Carol Oates, pisarka amerykańska ma obecnie 32 lata. Zebrała już możliwe wszystkie amerykańskie nagrody literackie nie wyłączając najważniejszych, Pulitzerza. W tej chwili Oates wysunęła się na czołowe miejsce

po powieści „Szykowni”, wydano w tłumaczeniu na francuski jej powieść „Them” (Oni), w której Oates przedstawia losy pełnej rodziny biedaków z Detroit.

ENRICO CARUSO

Zmieniał koszulę przed każdym aktem opery, kąpał się dwa razy dziennie i groził swym scenicznym partnerkom, że jeżeli nie wymyją się należycie, to będzie się od nich trzymał trzy metry z dala, nawet podczas najbardziej czułych scen miłosnych. Lubił befsztyki i surowe jarzyny, zbierał znaczki pocztowe i złote monety. Dziennie wypalał czterdzieści papierosów egipskich i wcale nie szkodziło to jego wspaniałemu głosowi. Gdy zmarł pięćdziesiąt lat temu powszechna żałoba okryła nie tylko jego ojczyznę, Włochy, ale niemal cały świat. Dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy śmierci genialnego tenora Enrico Caruso firma R.c.a.-Victor wydała płyty z nagrańmi wielkiego śpiewaka w latach 1905-1920 tj. w ciągu piętnastu lat kariery Carusa. Kasetą zawiera pięć płyt drobnonorowych, na których nagrano 50 arii operowych włoskich i francuskich, 15 pieśni religijnych i melodie neapolitańskie. Wśród tych nagrań jest słynna aria „La donna e mobile”. Nagrana na płytę jeszcze za życia wielkiego śpiewaka przypomina mu bajeczne sumy pieniędzy a jej wykonanie przez Carusa pozostało sławne do dziś dnia.

Warto podkreślić, że głos Carusa piękny i mocny, wyjątkowo dobrze nadawał się do zapisu na płytach. Płyty, nagrane za jego życia, a więc przy znacznie słabszej technice ich wykonania, jeszcze teraz brzmią bardzo dobrze i znacznie lepiej niż nagrania innych, współczesnych mu śpiewaków. Caruso miał ponadto wspaniałą dykcję i doskonałą umiejętność deklamacji.

Urodził się w Neapolu w roku 1873 jako dziesięcioletnie dziecko robotnika metalurgicznego. Debiut Enrico Caruso był trudny. Pierwszy profesor śpiewu starał się go nawet zniechęcić. Po długiej pracy Caruso wyróżniła się rolę w „Fedorze” Giordana w roku 1898, a w dwa lata później występuje już na scenie mediolańskiej La Scall, później w Londynie i Rzymie. W roku 1903 osiąga fantastyczne powodzenie w nowojorskiej Metropolitan Opera.

Kiedy pytano go kiedyś czego trzeba, aby stać się dobrym śpiewakiem, Caruso odpowiedział: „Mieć wielkie usta, szeroką pierś, dobrą pamięć, trochę inteligencji i zamiłowanie”.

VAN GOGH W MOSKWIE

W Muzeum Puszkina w Moskwie została otwarta wystawa dzieł Van Gogha, największa wystawa tego malarza jaka kiedykolwiek była urządzona poza Holandią. Wystawa gromadzi 82 płotna i 81 rysunków. Ekspozycja dzieł Van Gogha wywołała wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców Moskwy.

LUWSANGLIN GAWA

Dziś 51-letni laureat Nagrody Państwowej, zasłużony działacz na polu sztuki Mongolskiej Republiki Ludowej, jeden z najwybitniejszych artystów mongolskich, scenograf i malarz, Luwsanglin Gawa, miał ośm lat gdy z wygłodzonego straszliwa suszą Wschodniego Gobi, został przewieziony do Ulan-Bator.

Gawa trafił tam pod opiekę radzieckiego artysty Pomerancewa, który przybył z Irkucka wraz z żoną rzeźbiarką, Wierą Szarszun. Pomerancew uczył chłopca scenografii i opiekuje się nim aż do swego wyjazdu, po trzynastoletnim pobycie w Mongolii, w roku 1939.

Już w 1938 r. osiemnastoletni wówczas Luwsanglin projektuje dekoracje do sztuki „Wilcze stado” D. Namdagala. Praca ta jest jeszcze wykonywana pod kierunkiem Pomerancewa, ale już w roku następnym Gawa jest samodzielnym scenografem sztuki innego



L. Gawa — jeden z projektów scenograficznych

mongolskiego dramaturga, Ojuun. Młody scenograf pracuje w Ulan-Bator do 1946 roku, gdzie zdobywa Nagrodę Państwową. Wyjeżdża następnie na dalsze studia artystyczne do Leningradu. Objawia wielkie zdolności i zamiłowania w kierunku pejzażu. Gawa jednak, nie porzucając malarstwa, w którym zaznacza się jego znakomite wyuczenie barw i światła, specjalizuje się nadal w scenografii pracując pod kierunkiem słynnego pedagoga-scenografa M. Bobyszowa. Jako prace dyplomową Gawa projektuje de-

koracje i kostiumy do opery M. Musorgskiego pt. „Chowańszczyzna”.

Po powrocie do Mongolskiej Republiki Ludowej, Luwsanglin Gawa oddaje się całą duszą scenografii. Opracowuje spektakle zarówno ze światowego repertuaru klasycznego jak i współczesnych mu dramaturgów mongolskich.

Dzięki mozolnym studiom Gawa tworzy kostiumy jak najbardziej odpowiadające tradycjom ludowych strojów mongolskich, a równocześnie lekkie, pozwalające na taniec w nich na scenie. Bowiem właściwe ubioru ludowe mongolskie są zbyt ciężkie (zwłaszcza przybranie głowy) by można było w nich przez dłuższy czas tańczyć.

Gawa prócz prac scenograficznych uprawia malarstwo. Na swych obrazach utrwała życie ludu mongolskiego, pracuje nad pejzażem. Zauważamy przy tym, że w starej tradycji malarstwa mongolskiego pejzaż nigdy nie występuje samodzielnie, służy jedynie jako tło. U Gawy zaś krąkierunkiem słynnego pedagoga-scenografa M. Bobyszowa, występuje częściej jako temat obrazu.



Projekt L. Gawy — kostiumy do sceny „Ogień” w ludowym baletcie „Legenda jeziora”.

Bez strachu

KRYTYK LITERACKI

„Pan jest krytykiem literackim i niezłym więcej” (Fiodor Dostojewski „Biesy”)

Któż nie był krytykiem i to krytykiem literackim? Kiedy pierwszy raz w życiu usłyszałem słowa „krytyk literacki”, spojrziałem z trwogą na człowieka obdarzonego tym mianem. Po prostu atmosferę skandalu, bijatyki... W każdym razie kojarzenie było w najwyższym stopniu negatywne. „Patrz, dziecko i podziwiał, ten pan to krytyk literacki, a oto nadchodzi panowie literaci”. „Bia- da — przemknęło mi przez głowę. — Spokojnie się nie oczekiwania i pobija, może nawet będą trupy”. Zerwałem się, by bronić dziecięcymi rączkami, by ocenić, by nie dopuścić do najgorszego. Moja interwencja była zbyt późna. Krytyk literacki i literaci przywitani się serdecznie. Usiedli razem do butelki, do kawy ze śmietaną. Literaci poczęli bez obawy krytykować krytyka za sposób jedzenia, picia, za ubranie. Krytyk literacki był potulny, bronił się nieporadnie. Kiedy odchodzili, krytyk pusił literatów przodem, kłaniając się nisko. Nie mogłem tego zrozumieć — przecież to człowiek, który ich ocenia i wycenia krytycznie... Było ich przecież kilku, a on jeden, czemu nie wiał za swoje krzywdy? Potem dowiedziałem się, że literaci cenili krytyka literackiego, a krytyk literacki, ceni literatów, że są za przyjaźnieni. Nie mogłem tego zrozumieć: czy wybaczają mu to, że ich osądza, często potępia, to zajmują obok boże miejsce na ziemi... Odpowiadano mi, że krytyk od dawna nie osądza i nie potępia literatów. Nie przykładają do nich miar, bo ich już nie ma. Kiedy był młody, oceniał, uprawiał krytykę normalną, obecnie snuje własne refleksje na marginesie dzieł literatów — żywi się nimi, są mu stokrotnie bardziej niezbędni niż on im. Krytyk literacki stał się zatem artystą, artystą pośrednim, artystą pogłosów. Gdy dowiedziałem się, jaki los spotkał krytyka, myślałem o nim: „Ten buje krytyk literacki snuje refleksje na marginesie dzieł literatów”. Kojarzył mi się z wilkiem, który utracił zęby, orłem, który utracił dziób. Od tej chwili porzuciłem chęć zostania krytykiem literackim. A przecież w podobnej sytuacji „snującego refleksje na marginesie” był tylko ten konkretny, stary, bezzębny krytyk, poklepywany po ramieniu przez literatów. Są gdzieś jeszcze krytycy zębaci i potężni — może im się narażam tym felietonem. Oj, dadzą mi oni, dadzą za to, że dobrałem takie motto, że tak kpię z krytyków literackich, że piszę bezkrytycznie opowiadania, powieści i wiersze. Cokolwiek ze mną nie zrobią, pozostanie mi Fiodor Dostojewski i jego „Biesy”.

BERNARD SZTAINERT



JERZY WIDOK



wśród najbardziej popularnych pisarzy amerykańskich. Piszcie niesytnie szybko a jej sposób pisania nie odpowiada jej sylwetce zewnętrznej. Bowiem pani Joyce Carol Oates ma bardzo delikatną urodę, ładnie ukształtowaną głowę na długiej szyi i, jak to podkreśla „L'Express”, w swych strojach zdobnych w koronki przypomina hiszpańską infantkę, albo bohaterkę powieści z Poludnia, wypoczywającą w cieniu kwitnących magnoli. Piszcie jednak często z naturalizmem Zoli, mówią w swych książkach o sprawach drastycznych, nie unikając brutalnych scen. Przyrównuje się jej pisarstwo także do Dreisera, inni mówią o Faulknerze, je-

kiego Detroit, a potem wraca do domu i za jednym zamachem pisze pięćdziesiąt stron. Pisuje od 15 roku życia. Jej opowiadania i powieści powstają w rekordowym wprost tempie. Trudno uwierzyć, ale autorka — jak twierdzi — martwi się, że może napisać tylko 50 do 60 stron dziennie. Swoją styl dostojowość do każdorazowego tematu. Jej styl jest inny, gdy pisarka maluje obraz przedmiotu bogaczy inny, gdy przedmiotu nędzy. Gdy pisze o życiu wsi jej powieści przypominają wtedy styl Caldwell. W swoim pisarstwie drąży trudne i nieraz zawiślane sprawy społeczne, nie wahając się przed naturalizmem w opisach. Ostatnio we Francji,



GRANICE TAKTU

KTO NAPISAŁ „MATKĘ JOANNĘ”? — OBYCZAJE, OBYCZAJE — ZOSIA SAMOSIA — PATENT NA WIELOWARSZTATOWOŚĆ? — GORSZA SYTUACJA — NIEZŁE REZULTATY — KTO ZASTĄPI POKOLENIA TŁUMACZY?

Przed laty opowiadał Jarosław Iwaszkiewicz, jak to ujrzał w witrynie niemieckiej księgarni barwną okładkę książki. Przeczytał: „Jerzy Kawalerowicz — Matka Joanna od Aniołów”. Były to fotyzy z filmu uzupełnione fragmentami scenopisu — nazwisko prawdziwego autora „Matki Joanny” ukryto gdzieś w środku książeczki.

Historia jest znana, sam o niej pisałem przed laty, była następnie wielokrotnie cytowana jako przykład megalomanii i nonszalanckiej wobec literatury. Życie jednak idzie naprzód, obok filmu narodziła się nam telewizja i znów podobne historie zdarzają się nagminnie — tym razem na szklanym ekranie. Ktoś

tam wziął bezceremonialnie fragment książki pamiętnikarskiej i zrobił z niej widowisko telewizyjne, nie podając — oczywiście — nazwiska autora. Podniósł się wówczas szum, sprawa oparła się o sąd — szło zresztą chyba nie tylko o tę jedną książkę i jedno widowisko, ale o metody i obyczaje. Szło chyba o zwyczajne granice taktu. Tak sobie pomyślałem, gdy przeczytałem w „Tygodniku Kulturalnym” wywiad z p. Tadeuszem Malakiem, wywiad zatytułowany „Granice teatru faktu”. A granice taktu w teatrze faktu?

Z nimi gorzej. P. Malak (skądinąd reżyser) mówiąc o swym montażu poświęconym Jesieninowi

oświadcza: „Niektóre istniejące przekłady nie bardzo mi się podobały i także sięgnąłem do oryginałów”.

Jesienina tłumaczono w Polsce wiele, sporo wierszy ma nawet po kilka wersji w języku polskim, bowiem przekładali je różni poeci. Anna Kamińska i Bruno Jasiński, Władysław Broniewski i Tadeusz Nowak, Seweryn Pollak i Leopold Lewin, Artur Międzyrzecki i Włodzisław Słobodnik...

P. Malak (skądinąd reżyser) ma prawo uważać, że zrobił to lepiej. Jego prawo. „Staram się — mówi p. Malak — od pierwszego pomysłu do ostatecznego kształtu wszystko realizować sam”.

Taka telewizyjna Zosia-Samosia.

Tylko, że fakt, iż ktoś jest reżyserem (nawet znakomitym), nie musi znaczyć, że jest również znakomitym tłumaczem. Fakt, że ktoś otrzymuje do dyspozycji maszyny telewizyjnej produkcji nie musi oznaczać, że posiadał w ten sposób patent na umiętność opanowaną przez innych. Przez — nie bójmy się tego słowa — specjalistów. Dysponenda telewizyjną machiną nie jest patentem na wielo-warsztatowość.

P. Malak stara się wszystko realizować sam. Furda zastępy tłumaczy i poetów, kiedy można same-mu. Tylko, że p. Malak się ośmieszka, kiedy mówi: „Podobnie zresztą pracowałem nad scenariuszem poezji Garcia Lorki. Byłem zresztą w gorszej sytuacji, bo nie znałem hiszpańskiego. Zaczęłem więc uczyć się języka. Rezultat uważam za wcale niezły, bo 80 proc. tekstów adaptacji oparłem na własnych przekładach”.

Utwory Lorki tłumaczył m. in. Mieczysław Jastrun, Włodzisław Słobodnik, Zofia Szalejon, Jerzy Ficowski... P. Malak jest bardzo skromny. P. Malak nie był w „gorszej” sytuacji, ale wręcz w sytuacji bez-nadziejnej. A jednak — patrzeć! — rezultat uważa za wcale niezły, choć przystępując do pracy wcale nie znał hiszpańskiego!

Nie wyjaśnił nam tylko p. Malak, czy uważa rezultat za niezły dlatego, że jego przekłady były lepsze od przekładów jednego z najwybitniejszych poetów, jakim jest Jastrun, czy były lepsze od przekładów Zofii Szalejon, która w Hiszpanii i Francji przeżyła 8 lat — czy też dlatego rezultat jest niezły, że p. Malak był procen-

towo lepszy, bo więcej przetłumaczył do swego programu?

Powiem ktoś, że czepli-am się zdolnego reżysera Tadeusza Malaka, który jest fachowcem w swojej branży. Czepli-am się o byczajów, panujących w filmie i telewizji. Obyczająm tak ugruntowanych, że nawet publicznie i bez żenady można dziś powiedzieć czytelnikom kulturalnego czasopiśma, że telewizyjny realizator oby-wa się bez dorobku przekładowego twórców, którzy na tej pracy strawili nieraz całe życie. Dorobek, który jest w polskiej kulturze faktem i niewzruszalną wartością.

Nie wykluczone, że p. Malak (skądinąd reżyser) jest postacią wybitną. Nie wykluczone, że posiada on cechy maszyni elektronicznej w opanowywaniu języków obcych. Nie wykluczone, że cieszy się również wyjątkowym talentem poetyckim. Wszystko to być może...

Niestety, trudno jednak będzie mnie przekonać, że p. Malak jest zdolny zastąpić nam trzy pokolenia tłumaczy i poetów. Mimo całej sympatii dla reż. Tadeusza Malaka, nie jestem w stanie przyjąć takiej ewentualności.

BRETT HALLIDAY

MORDERCA ZOSTAWIA ŚLAD

(Dokończenie)

Mike wszedł do domu i zapukał do oszklonych drzwi dozorczyń. Ukazała się siwa kobieta w brudnym szlafroku.

— Tak? — rzekła patrząc na Shayne'a bez cienia sympatii. — Jestem policjantem — wyjaśnił pokazując dowód. — Chciałbym zasięgnąć informacji o Marvynie Chills.

— Co tam znów wykombinował ten tobuz?

— Zmarł.

Stara zamruwała powiekami. — Zmarł? Proszę nie żartować. Jest mi winien za dwa miesiące.

— Współczuję pani. O której godzinie wyszedł dziś wieczorem?

— A bo ja wiem! Nie jestem nianią lokatorów.

— Czy przyjmował wizyty?

— Owszem, przechodzili do niego różni, przeważnie holota, jemu podobna, zawsze gotowa do wrzasków, jak dziś wieczorem.

— O której godzinie?

— Mogła być 19 i pół. Właśnie włączyla telewizor, oglądam program zwykle o tej porze. Ktoś tam krzyczał na górze i przeskakał mi w słuchawki.

— Chills? A co mówił?

— Nie, to nie on. Ten drugi. Powtarzał... nigdy więcej!

— Dobrze. Proszę mnie zaprowadzić do jego pokoju.

Kobieta wzięła klucze i poszła z Mike'em na trzecie piętro. Otworzyła drzwi i mrucząc coś do siebie wróciła do swej izdebki.

Detektyw rozejrzał się wokół. Umieblowanie było nudne. Łóżko z wytartą koldrą, okrągły stolik komoda, piecyk. Czynił poszukiwania starannie, niczego nie pomijając. Trzy butelki najlepszej whisky dowodziły, że zmarły nie liczył się z wydatkami na trunki. W dolnej szufladzie komody Mike znalazł portfel, sejfory i pek kluczy... Dla czego Chills zostawił te przedmioty w domu? Czyżby się tak spieszył?

Przypomnił sobie słowa do-

zorczyń i pomyślał, że Chills na pewno znalazł się na ulicy o 19 i pół, ponieważ Tim spotkał go kwadrans przed 20.

Detektyw szukał dalej. W innej szufladzie komody znalazł zawiniątko w przebitkowym papierze zawierające broszkę, pierścionek i obrączkę. Włożył je do kieszeni.

Zwrócił teraz uwagę na stolik, gdzie stała butelka do polewy opróżniona i dwa kieliszki dokładnie umyte, jeszcze wilgotne. To dziwne, że człowiek zmuszony do opuszczenia własnego pokoju w takim pośpiechu trzymał się plukaniem kieliszków... Kto pił razem z nim? I do kogo należała ta biżuteria? Chills nie miał żony, więc obrączka nie była jego własnością.

Detektyw zamyślił się i nie zauważył obecności przybysza do momentu, gdy ten rozkazał ostrym tonem: — Proszę mi zwrócić paczkę!

Mike podniósł ręce do góry i powoli się odwrócił. Mężczyzna był mały i chudy, w ręku trzymał wielki pistolet. Oczy ich się spotkały i człowieczek nagle się zmienił, zbladł i opuścił prawą rękę.

— Witaj, Boomer! Co słychać u ciebie? Od kiedy chodzisz na roszkę z taką armatą? Dawniej kradłeś tylko torebki starym kobietom.

— We wszystkim jest postęp. Teraz zajmuję się poważnymi sprawami.

Boomer znów wycelował rewolwer. — Lepiej niech mi pan odda tę biżuterię. Jak Chills wrócił i jej nie znalazł, rozłości się.

— Chills już nie będzie się nigdy złościł. Nie żyje.

Boomer cofnął się do tyłu przerażony i opadł na krzesło. Detektyw wyjął mu broń z ręki. — Spokojnie, Boomer, czemu się tak przejąłeś? Czy był twym współnikiem? Jak myślisz, kto go mógł zamordować?

— Pracowaliśmy razem, lecz nie wiem kto go zabił. Był graczem, spotykaliśmy się na partach pokera w poniedziałki i czwartki. Zauważyłem, że ostatnio miał dużo pieniędzy. Zaczalem go śledzić... W piątek wziął taksówkę, pojechał za nim. Zatrzymał się w pewnym domu, a potem wrócił na tę uliczkę, gdzie...

Rozległ się huk strzału i detektyw rzucił się na podłogę chroniąc się za łóżkiem. Drugi strzał wbił się w ścianę. Potem nastąpiła cisza. Napastnik skoczył do okna i dalej zbiegł na dół schodami przeciwpożarowymi.

Detektyw pochylił się nad rannym. — Powiedz mi, dokąd poszedł Chills? Musisz mi pomóc!

Boomer otworzył oczy i wyszeptał z trudem: — Tawerna Macka... uliczka... ten przekleństwo... opuścił głowę i przestał oddychać. Nie żył.

Shayne pobiegł do telefonu. Niedługo przybyła policja. Kapitan Will Gentry wysłuchał raportu detektywa.

— Wynika z tego, że Tim nie zabił Chillsa nawet we własnej obronie — oświadczył Shayne. — Chills z kims się związał, a ten ktoś strasznie się boi, żeby go nie wykryto i gotów jest usunąć każdego, kto wykaże nos w jego sprawie. Słuchaj, Will! Znalazłem biżuterię w pokoju Chillsa, czy nie mógłbyś skontrolować wszystkich kradzieży kosztowności z ostatnich dni?

— Dobrze, Mike. I jeszcze coś... Prosiłeś, żeby moi ludzie w laboratorium zbadali brud na paznokciach Chillsa. Okazało się, że to jest pył z cegieł.

Detektyw podrapał się w głowę. Wszystko posiada się zbyt szybko... Will, może byś jeszcze kazał zbadać spis zaginionych osób?

— Zgoda, zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

— Dziękuję. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Chills zostawił w szufladzie portfel, klucze i sejfory. Widocznie opróżnił kieszenie nie mając zamiaru wychodzić ze swego mieszkania. Coraz bardziej upewniam się, że opuścił dom nie z własnej woli.

— Muszę już wrócić do komendy — oznajmił kapitan. — A ty, co będziesz robił?

— Zostanę jeszcze w tych stronach, aby rozejrzeć się dokładnie.

— A więc żegnaj, Mike!

— Do zobaczenia!

Gdy został sam, usiadł, aby uporządkować w głowie wszystkie najważniejsze punkty sprawy. Potem zbadł podłogę. Wreszcie wyszedł z mieszkania. Na dole spotkał dozorczyń, która okazała się teraz uprzejmiejszą.

— Proszę, niech pan wejdzie. Czego pan sobie życzy?

— Jeżeli się nie mylę, pani nie widziała, aby Chills schodził, ale słyszała pani krzyki w jego pokoju. Czy tak?

— Owszem, tak.

— A jak było z tym drugim mężczyzną?

— Jakim drugim?

— No ten, który dyskutował z Chills'em. Czy pani słyszała dwóch mężczyzn wychodzących z jego mieszkania?

— Wykluczone. Gdy drzwi mieszkania na trzecim piętrze zamknięte się, schodziła na dół tylko jedna osoba, i to bardzo powoli, ciężkim krokiem.

— Dziękuję pani, do widzenia!

Mike wyszedł na uliczkę, wszedł do swego samochodu i pojechał w kierunku tawerny Macka. Leżała w ulicy ciśnie, opustoszała i ciemna, była już godzina 23. Obszedł budynek wokoło, w dalszym ciągu ulicy zauważył sztydy różnych sklepów. Uwagę jego zwróciła hurtownia wódek, przypomniał sobie kosztowną whisky w mieszkaniu Chillsa i papier prze-

bitkowy, na którym była reklama sklepu.

W podwórzu hurtowni odnalazł drzwi prowadzące do magazynu. Upewnił się, że ma pistolet w kaburze, a potem dopasował wytrych. Wśliznął się do wnętrza, zapalił lampkę elektryczną. Naokoło stały półki pełne butelek i trunkami, nie było tu nic szczególnego. Otworzył teraz drzwi prowadzące do piwnicy i wszedł ostrożnie po kilku schodkach na dół. Zobaczył obszerną salę z cementową posadzką, rzucił wiązkę światła na ściany. Pewna partia cegieł była świeżo położona. Zbliżył się tam, żeby się upewnić — lecz nie zdążył... W piwnicy zapłonęło silne światło. Detektyw wsunął rękę do kabury, lecz jakiś głos zawołał: — Na pańskim miejscu, panie Shayne, nie próbowałbym tego czynić!

Mężczyzna, który to powiedział, był wysoki i muskularny. W ręku trzymał pistolet. — Nie sadziłem, że sklepy z trunkami leżą w zakresie pana działalności. Lecz włamanie do cudzego domu jest przestępstwem raczej ciężkim.

— Nie tak, jak morderstwo, panie...

— Leseur, nazywam się Adrien Leseur, właściciel magazynu.

— Przylemnie mi pana poznać, Leseur.

— Proszę położyć ręce na skrzyni, która stoi przed panem. Mike posłuchał, mężczyzna odebrał mu pistolet.

— Czy mogę się teraz odwrócić?

— Tak. — Leseur wyjął paczkę papierosów i poczęstował detektywa trzymając wymierzony pistolet.

— Widzę, że są to papierosy — Dziękuję — rzekł detektyw. — Czy pan ich nie lubi?

— Owszem, lecz... dlaczego ta uprzejmość?

Mężczyzna uśmiechnął się sztywno. — No cóż, drobna uprzejmość wobec człowieka skazanego na śmierć. Ponieważ sadzę, że będę musiał pana zabić jako człowieka dla mnie niebezpiecznego.

— A jeszcze jedno morderstwo jest już dla pana obojętne.

— Jeszcze jedno? Przecież nikogo nie zabiłem!

— Badamy szczerzy, Leseur!

— Mike wyłożył rękę w kierunku ściany. A co tam jest za tym murem? A raczej „kto”? Wspólnik? Przyjaciel? Zona? Kogo zabił Chills na pańskie zlecenie?

— Nie wiem o żadnym Chillsie, pewnie pan ogląda za wiele filmów kryminalnych — rozemknął się Leseur.

— Ale nie te, które podobają się panu, ja wolę szczyśliwe zakończenie.

— No, no... Czy pan zauważył jacy są głupi zbrodniarze na filmach? Na widok detektywa tracą głowę, jakają się i wresz-

cie przyznają się, że zamordowali babkę w momencie roztrągnięcia... Albo spowiadają się ze swych zbrodni ponieważ trzymają pistolet w ręku i myślą, że za chwilę usuną policjanta!

— Wierzę — przyznał detektyw — lecz pańskie słowa są także już prawie spowiedzią.

Wiedział, że Leseur nie pozwoli mu na żaden ruch i postanowił dużo mówić, żeby zyskać na czasie, który mógł dostarczyć okazji do uderzenia przeciwnika.

— Będę szczerzy, Leseur, i opowiem wszystko, co wiem. Sadzę, że wynajął pan Chillsa aby kogoś zabił. Następnie usunął pan Chillsa i Boomera. Chills stał się zbyt cehiwy na pieniądze, więc przyszedł pan rozmówić się z nim w jego mieszkaniu.

— Traci pan czas na próżno, To prawda, moja biedna żona zaginęła i policja jej poszukuje. A może to pan razem z owym Chills'em zamordował Marion żeby ją obrabować? Bo jak wytłumaczyć pana obecność w moim magazynie?

Leseur mówił dalej — i właśnie w tym momencie detektyw zobaczył kapitana Willa Gentry. Stał na szczycie schodków prowadzących do piwnicy, oparty o ścianę, z pistoletem w ręku i nie miał widać było, żeby miał zamiar interweniować. Widocznie potrzebował ważnego motywu do strzelania do piwnicy, oparty o ścianę, z pistoletem w ręku i nie miał widać było, żeby miał zamiar interweniować. Widocznie potrzebował ważnego motywu do strzelania do piwnicy, oparty o ścianę, z pistoletem w ręku i nie miał widać było, żeby miał zamiar interweniować. Widocznie potrzebował ważnego motywu do strzelania do piwnicy, oparty o ścianę, z pistoletem w ręku i nie miał widać było, żeby miał zamiar interweniować.

Shayne postanowił przystąpić do ataku, aby zmusić przestępcę do przyznania się. — Słuchaj, przyjacielu — rzekł usiłując ukryć panikę, która go ogarnęła — przegrał pan tę partię. Dozorczyń widziała, jak pan szedł do Chillsa.

— Zmienił pan płytę. Shayne. Nie znam żadnego Chillsa, ani dozorczyń jego domu.

— Więc może pana zainteresuje wiadomość, że Boomer nie umarł. Wie wszystko, inaczej nie próbowałby go pan zabić w pokoju Chillsa. Boomer śledził Chillsa, widział, jak spotkaliście się tutaj przed zaginięciem pańskiej żony. Nie umarł i gada aż przyjemnie go słuchać. Bo skąd znałby pana adres?...

— Kłamiesz — przerwał mu Leseur. — Nikt mnie nie widział w towarzystwie Chillsa!

Shayne wskazał pistolet. — Czy to jest ta broń, z której pan do mnie strzelał? Nie ma pan już wyjścia, pan zabił Marion, Chillsa i Boomera! Teraz...

— Boomera? Przecież pan przed chwilą powiedział, że Boomer żyje! — Leseur podniósł pistolet. — To wszystko kłamstwo, wiem, że Boomer padł trupem, oto prawda!

Rozległa się detonacja, Shayne upadł na podłogę i stracił przytomność...

Gdy się obudził leżał na łóżku w szpitalu otoczony gronem

przyjaciół. Czuł ostry ból w ramieniu. — Gdzie jest Leseur? — zapytał.

— W więzieniu — odpowiedział kapitan Will. Zabraliśmy go, gdy do ciebie strzelił.

— Czy nie mogłeś wcześniej tego zrobić?

— To niemożliwe. Adrien Leseur był człowiekiem ogólnie szanowanym, musiałem mieć dowody przestępstwa. Przyłapał cię w nocy w swoim magazynie, nie zapominaj o tym.

— Powiem ci ostatnią wiadomość — wtrącił Tim. — Znalaziono trupa zamurowanego w ścianie. Trudno jednak zidentyfikować ofiarę, gdyż umieszczono ją w wapnie. Nie można nawet oskarżyć Leseura, gdyż ma alibi. Sa świadkowie, że Marion wyjeżdżała do siostry i odład nikt jej nie widział.

— Przypuszczam, że Chills spotkał Marion w pociągu i pod jakimś pozorem namówił ją do powrotu do domu. Następnie zabił ją kradnąc także broszkę i pierścionki. Otdał szantażował Leseura żądając ciągle większych sum pieniędzy. Znalazłem pokwitowania podpisane przez Chillsa. Leseur udał się do mieszkania Chillsa, pokłócił się z nim i uderzył go tak, że ten upadł na kant łózka i zemdlął.

— Pozwól, że i ja coś powiem — wtrącił Shayne. — Leseur, obawiając się oskarżenia o zabójstwo, postanowił usunąć Chillsa z pokoju. Wziął go na pięć i zaniósł w ciemną uliczkę. Tam oparł go o mur i zapalił papierosa Pall Mall. Gdy usłyszał kroki pchnął Chillsa na drogę. Ten oszołomiony zrobił jeszcze kilka kroków, zatoczył się i upadł na Tima umierając u jego stóp. To Leseur umył oba kieliszki nim wyciągnął Chillsa z mieszkania. Whisky też na pewno pochodziła z jego magazynu.

A teraz powiedz mi, Will, jak mnie znalazłeś? Przecież nie wiedziałeś, że pójść do piwnicy? — zapytał detektyw.

— Boomer przed śmiercią mówił o tawernie Macka. Wśród zaginionych osób znalazłem żonę Leseura, który ma sklep obok tawerny. Pomyślałem, że ty na pewno tam się znajdujesz i możesz potrzebować pomocy. Gdy zobaczyłem twój samochód na rogu — upewniliem się całkowicie. Zostawiłem drzwi do piwnicy otwarte, stałem na schodach, słuchając waszej rozmowy... i czekałem na dowody. Strzelilem o sekundę za późno, lecz trafiliem zbrodniarza w rękę i odsunąłem w bok jego strzał, który był dla ciebie przeznaczony. To wszystko...

— Okay! Postępowanie zakończone! — krzyknął Tim. — Pełnię do redakcji! Nareszcie napiszę artykuł, gdzie główną osobą będzie dziennikarz — Tim Rourke.

A. S.



Lewym okiem

CO DRUGI CZŁOWIEK NA ŚWIECIE

Znów mamy nasze piękne wiosenne światło: Dni Oświaty, Książki i Prasy. Nie jest już tak żarliwie obchodzone, nie porusza tylu sentymentalnych strun w naszej wyobraźni, jak w pierwszych latach po wojnie kiedy drukowane słowo polskie stało się nagłe artykułem pierwszej mądrowej potrzeby, prawie jak chleb, jak przyjaźń. Może to i pozytywny objaw: spowszednienie książki. Nie rzucamy się na chleb, nie rzucamy się na książki. Sięgamy po nie systematycznie, stale, należą do naszego stalego „koszyka dóbr”.

Liczba wydawanych rocznie na całym świecie tytułów rośnie w miliony, a nakłady — w miliardy. Rośnie też — cóż za przedziwne świat! — liczba analfabetów, których te miliony i te miliardy nie obchodzą. Wzrost analfabetyzmu jest przy tym zarówno względny, jak bezwzględny. Przed dwudziestu la-

ty na około 1.580 milionów dorosłych ludzi obliczano, że mniej więcej 700 milionów nie umie czytać ani pisać, czyli 44,3 proc. Dziś liczba dorosłych mieszkańców globu osiągnęła dwa miliardy, a liczba analfabetów — miliard, czyli 50 proc.! Co drugi człowiek nie sięgnie nigdy po gazetę, nie napisze listu, nie podpíše żadnego „oświadczenia woli”. Oczywiście, to jest średnia światowa. Są wielkie obszary, zamieszkałe gęsto jak mrowiska, gdzie czytać potrafi co trzecia osoba, jak w Indiach, lub jeszcze gorzej. To są wiadomości wręcz niewiarygodne, ale skoro powtarza je prasa powołując się na studia specjalnych międzynarodowych instytucji, to na pewno tak jest.

Przed kilkoma tygodniami zawstydzalem z tego miejsca mieszkańców Łodzi, że co do konsumpcji czasopism znaleźli się na dalekim miejscu w szeregu naszych miast wojewódzkich. Ma jednak rację łodzianka, pani Alicja Glowacka, rzucając w związku z tym felietonem prawdziwie retoryczne pytania w adresowanym do Cwieka liście: „a gdzie dostać „Politykę”, „Forum”, „Kobietę i życie” i długi jeszcze szereg tytułów? Gdzie kupić zwykłą codzienną gazetę, jeśli się człowiek nie zerwie o świecie i nie poleci specjalnie na róg, do znajomego i zaprzyjaźnionego kioskarsza?

To jest prawda! Jeździć sporo po kraju i potwierdzam przypuszczenie pani Glowackiej: w Krakowie mogę zawsze kupić wszystko. W Warszawie „Polityka” i „Forum” może nie tak na zawołanie, ale jest, leży na wierzchu, na ladzie! W Łodzi się tego nie zobaczy, kioskarsze nie chcą już zakładać kumoterskich tezek, poczta nie przyjmuje prenumeraty.

„Polityka” pisze o inflacji tytułów czasopism i o zmniejszaniu się przeciętnego nakładu. Ołbrzymia większość pism wychodzi w liczbie poniżej dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Nie jest to powód do wpadania w panikę ani przesłanka do górdzyskiej decyzji. Trzy pisma, z których każde trafia w zainteresowanie niewielkiej liczby obywateli i jest dla nich ważnym czynnikiem integrującym społecznie, podnoszącym kwalifikacje czy ogólny poziom kultury largo sensu, są więcej warte niż jedno pismo o dużym nakładzie, które każdemu z czytelników da tylko trochę tego, na co on czeka, a poza tym pozostanie obojętną dla niego makulaturą. Niech sobie żyją pismka pięciotyśięczne. Niech rosną do stu tysięcy, jeśli się okaże, że trafiły w potrzebę stu tysięcy ludzi. Niech kolportaż lepiej i sprawliwiej dostosowuje się do popytu poszczególnych rejonów kraju. Aha, i niech każde czasopismo stanie się dla jakiejś konkretnej grupy ludzi czymś bardzo ważnym, bliskim, niezbędnym. Niech będzie ciekawe, mądre i ludzkie. Może trochę mniej ołbrzymich artykułów w tygodnikach, zwłaszcza tak zwanych kulturalnych; czegoś podobnego nie znajdziecie w żadnym tygodniku zagranicznym! Mniej pretensjonalnej, nadętej, zawilej, przemądrzonej a drętwej mowy, więcej osobistego zaangażowania piszących, pasji, słów własnych, od siebie — bez cudzysłowów! — słów, dających pewność, że napisał je człowiek, który naprawdę tak właśnie myśli.

Tyle aktów strzelistych na tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy. O „bazie materialnej”, czyli o papierze i jego braku, tym razem sobie darujmy.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Kąkowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działo literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pałuch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony: 244-75, 217-98 oraz 293-06 wewn. 29, 38, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe istosownie oraz PUPiR „Ruch” — z oznaczeniem na „Ogłoszy” Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Łódź ul. Zwirki i Zam. 897. S-10.